MAGAZYN PROBLEMOWO INFORMACYJNY POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ

W NUMERZE:

RAJD - CZYLI "GRUPA TORUJĄCA" W AKCJI.....s. 3

MÓWIĄ:DOC.DR TADEUSZ PORĘBSKI DOC.DR BOGUSŁAW KĘDZIA.." 6

DZIAŁACZ....." 7

WSPÓŁDZIAŁANIE....." 8

ZAWSZE SIĘ ZNAJDZIE JAKIŚ STUDENT....." 10

JUŻ STAROŻYTNI....." 11

DAJCIE NAM SZANSĘ....." 11

BAL Z BAŚKĄ....." 11

PLANOLOGIA STOSOWANA....." 12

SPRINTEM PO KLUBACH....." 16

W KRZYWYM ZWIERCIADLE....." 18

GDZIE TULIPANY....." 19

CIOTKA....." 20

SIGMA INFORMACJI....." 22

REKORDZIŚCI....." 24

PRZEBŁYSKI....." 24

PLAKAT

Kolorowy i rozkrzyczany plakat bił w oczy dużymi literami. Wszystkie informacje były tak skrzętnie pomieszane, że czytelnik, zaintrygowany rozedrganą płachtą kartonu - chcąc nie chcąc - musiał ją dokumentnie przestudiować, a potem jeszcze co najmniej kilkanaście minut poświęcić na kojarzenie informacji, rysunków, zaleceń, wskazówek itp. Po takiej "asocjacji" w jego wyobraźni powstawała niesłychanie pożądana wizja wielkiej przygody, mieszcząca w sobie elementy - no, powiedzmy - baśni z 1001 nocy, opowieści fantastycznych i westernów ...

I to za jedyne 15 złotych wpisowego. A że chętnych do uczestnictwa w takiej wspaniałej wyprawie po przygodę zgłosiło się bardzo wielu, należało tak ustalić godzinę wyjazdu, by co najmniej połowa zaspała, a jeszcze inna spora grupa po prostu nie zdążyła dobiec na czas do punktu startowego, czyli na dworzec, godzina 5^{00} rano. Jak wiadomo, o tej porze środki miejskiej komunikacji kursują nieregularnie. Tym oto prostym sposobem na rajd wyruszyła właściwa ilość uczestników, czyli około 25 % chętnych. Radość tychże szczęśliwców, którzy jednak zdążyli na dworzec była tym większa, iż wpisowego, pobranego od zapóźnionych, nie zwracano. Zatem powiększał się tzw. fundusz reprezentacyjny, którego przeznaczenie zawsze pobudzało wyobraźnię.

POCIĄG

Wcześniej już specjalna "grupa torująca" przeprowadziła coś w rodzaju "akcji oczyszczającej" w wybranym wagonie. Na czym to polegało? Otóż kilku uczestników rajdu, w strojach nie nasuwających żadnych wątpliwości co do aktualnej przynależności organizacyjnej i budzących należyte "zrozumienie"(w odróżnieniu od kiwania znacząco głową, z jakim spotykamy się na codzień) - udawało się do przedziału, w którym byli już pasażerowie. Po kilku zdaniach oficjalnych i kilku błyskotliwych argumentach - delikwent wiedział już, że albo przystanie na interesującą propozycję i przeniesie się do innego przedziału ("tam jest tyle wolnych miejsc i miękkie siedzenia"), albo zostanie przymusowo uznany za uczestnika rajdu i będzie musiał ponieść wszelkie tzw. "konsekwencje".

Na ogół akcja "grupy torującej" przebiegała sprawnie, jednakże zdarzały się osoby, które przejawiały pewien upór, a nawet chciały świadomie wybrać drugą ewentualność. W takim przypadku do przedziału z dzielnym i nieustraszonym pasażerem dosiadało się jeszcze co najmniej kilkanaście osób o sprawdzonych głosach i niezawodnej pamięci. Należało przeprowadzić sprawdzenie wytrzymałości psychiczno-fizycznej dzielnego pasażera. Rozpoczynano od "próby decybelowej": wybierano melodię znaną możliwie wszystkim, tekst, w opinii niektórych, tzw. nieprzyzwoity i zaczynano możliwie głośno i "z sercem". Przedział przypominał wtedy ..., ale zostawmy to wyobraźni czytelników. Jeżeli pasażer mimo wszystko wykazywał spokój, a nawet próbował współuczestniczyć w zabawie - stosowano "próbę tlenową". Zamykano mianowicie drzwi i okno przedziału oraz śpiewano możliwie długo. Po kilkunastu minutach w przedziale było tak duszno i gorąco, iż pasażer na ogół nie wytrzymywał i - tłumacząc się, iż na następnej stacji wysiada - opuszczał przedział, triumfalnie żegnany przez rajdowców, zwłaszcza tych, którzy stali na korytarzu i skutecznie tamowali ruch "elementów nierajdowych".

W ten sposób w przedziale zostawali "sami swoi" i zabawa zaczynała się na całego. Aby wszystkim pasażerom pociągu było wiadomym, iż jadą razem ze studentami - na każdej stacji odbywał się z okien przedziałów mały koncert "na instrumenty ludowe własnego wyrobu oraz zakupione w sklepie z artykułami gospodarstwa domowego".

ZAMCZYSKO

Stacja docelowa - wysiadka. Ponieważ o trasie wszyscy są doskonale poinformowani - grupa rusza natychmiast do pierwszego punktu docelowego, do ruin zamczyska. Według planu! Kiedy pierwsi zdobywcy gór - z językami na brodach - dotarli do celu, maruderzy byli jeszcze hen, daleko, studiując mozolnie mapę i pytając o drogę mieszkańców okolicy. Jakoś trafiali, narażając się na kpiny repów i liderów rajdowych "odcinków szybkościowych".

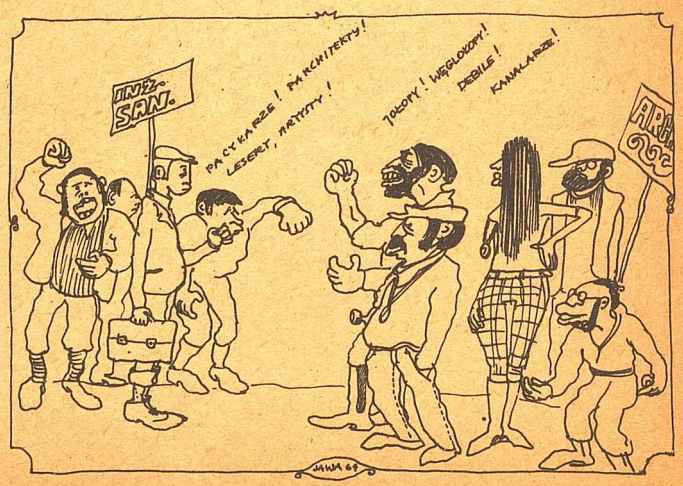

RAJD

CZYLI "GRUPA TORUJĄCA" W AKCJI

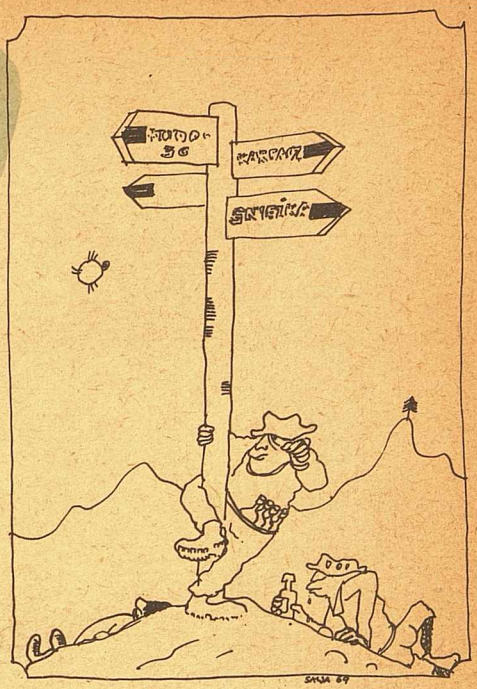

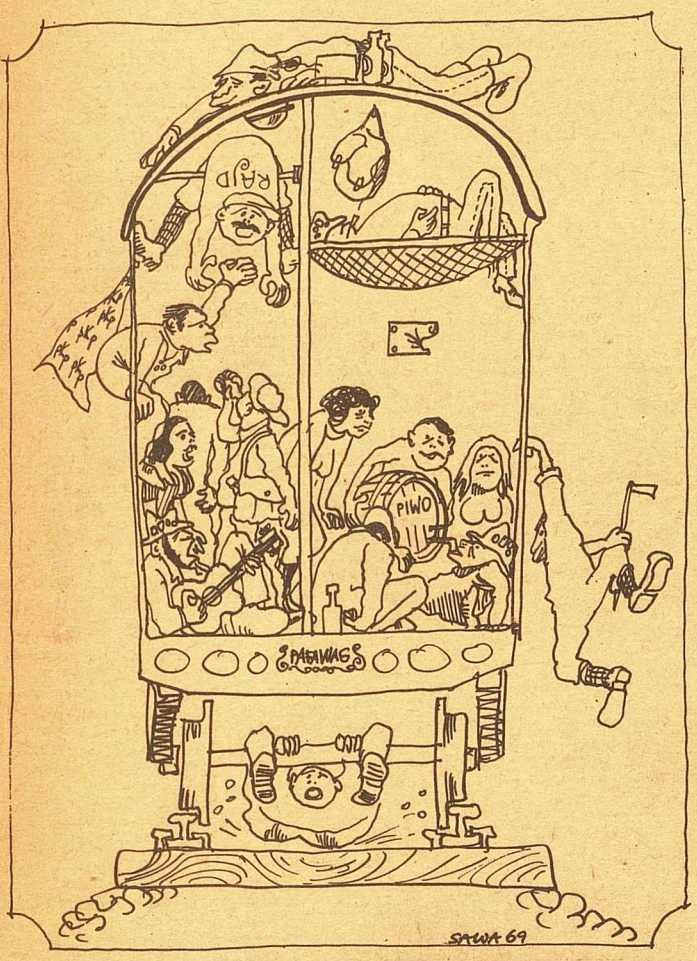

fot. SAF-H. Filipionek

W zamczysku przemówił przewodnik:

— Witam wszystkich serdecznie, szczególnie tych wielce dostojnych w garniturach świeżo odprasowanych, w krawatach i nonajronach, z parasolami ...

Na koniec podaje dalszą trasę tak dokładnie, że wszystkim dokumentnie mylą się i płączą kolory szlaków. Zabawa w rajd nabiera rumieńców; to dopiero będzie błądzenie i dochodzenie do celu - choćby o północy, choćby nad ranem. Wspaniałe! Rozchodzą się w las, pojedynczo, parami, koteriami, towarzystwami wzajemnej adoracji itd. Na trasie urządzane są interesujące zawody sprawnościowo-szybkościowe. Przewodnik kroczy na przedzie, nie dając się nikomu wyminąć. Jego róg skutecznie wskazuje drogę zapóźnionym i zabłąkanym. Biada temu, kto nie zdąży na określoną godzinę; będzie skazany na samotną wędrówkę wśród dzikiej, uroczej przyrody, wśród gór, lasów, wysokich traw, zamglonych dolin i szumiących kaskad.

"Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani,
Że za tobą idą, że za tobą idą
chłopcy malowani...
Ułani, ułani malowane dzieci
Niejedna panienka za wami poleci"...

Skąd wśród tego big-beatowego pokolenia tyle sentymentu dla historii, tyle zainteresowania minionymi epopejami, tyle wspomnień z łezką...?

"Dziś do ciebie przyjść nie mogę,
Zaraz idę w nocy mrok"...

Czyżby nowa moda?

SCHRONISKO

Niektórzy ze zmęczenia idą na godzinną drzemkę, wywołując zgorszenie bardziej zdeterminowanych. Wszyscy z zaciekawieniem obserwują kierownika schroniska, który słynął z tego, iż nigdy nie przyjmował studentów. Radość jednak prędko mija, kiedy okazuje się, że bigosu w barze już nie ma, piwa starczy co najwyżej po pół butelki na głowę, a po papierosy trzeba wysłać specjalną grupę do odległego miasteczka.

Głównym punktem wieczornego programu były "otrzęsiny rajdowych beanów". Najbardziej "przyjemną" torturą otrzęsin - z uwagi na puste żołądki - było zjedzenie kromeczki chleba (4 x 4 cm) posmarowanej takimi specjałami jak: pasta do zębów z przybraniem z tytoniu "Neptun", smalec z cukrem, pasta z solą czyli sól z dodatkiem pasty itp. Żarłoczność beanów została surowo napiętnowana, a kiedy przewodnik powiedział:

— Teraz dowiecie się co było w paście... - beanom zupełnie zrzedła mina.

Komplikacje żołądkowe okazały się niegroźne. Zdążyli.

Następnego dnia już od rana o niczym innym nie mówiono, tylko o tym, jak zdążyć na pociąg o 16^{00}, bo następny jest dopiero o godz. 20^{00}. W końcu ustalono, że przy średniej prędkości 8 km/godz., zdąży się "bardzo swobodnie" na pociąg.

Tym razem sprzymierzeńcem rajdowców okazała się mgła, która skutecznie odciągała uwagę od uroków przyrody, umożliwiając utrzymanie zaplanowanej szybkości.

W schronisku po drodze - harbatka. Za chwilę głos przewodnika:

— Nie delektować się herbatką, idziemy!

W drodze powrotnej w tym samym pociągu spotkano inną grupę studentów z niezaprzyjaźnionego wydziału. Zaczęła się od razu ostra rywalizacja w umilaniu sobie podróży:

— we Wrocławiu mówią wszędzie
z ..... nic nie będzie.

Tamci:

Gdy ..... są na rajdzie
Nic gorszego nie ma bardziej.

(W miejsce kropek prosimy wstawić nazwę wydziału - np. Architekci, Chemicy, Mechanicy itd. - zależnie od osobistych sympatii, przekonań i doświadczeń).

Na dworcu - od razu wiadomo, że przyjechali rajdowicze. Rogi, trąbki, gwizdki, piszczałki itp. - oznajmiały triumfalny powrót. Omal nie doszło do chwilowego wstrzymania ruchu pasażerów. W miejscu, gdzie zawsze jest największy tłok, utworzył się wygodny do przejścia szpaler. Nawet milicjanci kiwali przyjaźnie głowami.

Wracali gromadką przez miasto, na przełaj, w poprzek ulic, na przekór zakazom. Oto jak głęboko zakorzenił się rajdowy duch w młodych sercach. Na przełaj, byle na przełaj!

TADEUSZ MARIAN KRAWCZYK

VII KONGRES ZSP

VII Kongres Zrzeszenia Studentów Polskich - to najwyższa władza tej organizacji, skupiającej 86 % studentów dziennych i 22 % studentów pracujących.

VII Kongres zbierze się w Warszawie w dniach 10.II.-12.II.br., aby ocenić działalność Zrzeszenia za okres 3-letni, bo od VI Kongresu i wytyczyć kierunki dalszej pracy.

W Kongresie weźmie udział 253 delegatów, reprezentujących wszystkie środowiska akademickie naszego kraju oraz zaproszeni studenci zagraniczni. Obrady toczyć się będą na sesji plenarnej oraz w 10-ciu komisjach merytorycznych.

Delegacja środowiska wrocławskiego na VII Kongres liczy 25 osób; 7 osób - to absolwenci, 18 - studenci. 16 delegatów jest członkami PZPR. Struktura według pełnionych w ZSP funkcji jest następująca: 1 członek Komitetu Wykonawczego Rady Naczelnej, 5 członków Rady Naczelnej, 7 przewodniczących Rad Uczelnianych, 4 członków Komitetu Wykonawczego Rady Okręgowej. W skład delegacji wchodzi jedna kobieta i jeden student pracujący.

Delegacja naszego środowiska przebywała na przedkongresowym zgrupowaniu w Zieleńcu k/Dusznik, gdzie wespół z zaproszonymi gośćmi pracowała nad postulatami zgłoszonymi przez konferencje uczelni wrocławskich. Postulaty naszego środowiska: ograniczenie rotacji, zmiana ordynacji wyborczej, utworzenie środowiskowych sądów koleżeńskich.

Życzymy VII Kongresowi ZSP pomyślnych i owocnych obrad, a delegacji naszego środowiska - zwłaszcza Politechniki Wrocławskiej - dużego, pozytywnego wkładu w obrady.

KRZYSZTOF NOWAK - student V roku Wydziału Górniczego. Przewodniczący Rady Wydziałowej ZSP, w poprzedniej kadencji - wiceprzewodniczący RW do spraw ekonomicznych. Nie sposób wymienić wszystkich mniejszych funkcji i akcji, w których uczestniczył. Warto jednak podkreślić, że szczególnie dał się poznać jako dobry organizator kierując Komitetem Barburkowym w 1967 r. Dla nie wtajemniczonych podajemy, że obchody Dnia Górnika na Wydziale Górniczym należą do największych imprez i sięgają głęboko poza Uczelnię (goście z NRD, instytutów, przemysłu) i połączone są z inauguracją roku akademickiego.

Wyniki w ostatniej sesji - średnia 4,1 - świadczą że Krzysiek znajduje jeszcze dość dużo czasu na naukę, z którą nigdy nie miał "sęków".

KABE

ZYGMUNT KLESZCZ - student V roku Wydziału Elektrycznego. Nieżonaty, prawie zaręczony - jak sam o sobie powiedział. Od marca 1968 r. jest przewodniczącym Komisji Kultury Rady Wydziałowej. To on właśnie był jednym z organizatorów udanej imprezy 1 + 1 = 3 (studenckie "małżeństwo doskonałe"), prowadził finał uczelnianego konkursu piosenki studenckiej. Udało mu się także nawiązać kontakty z kolegami z Wyższej Szkoły Muzycznej. Organizował "Dni wstępne", otrzęsiny, konkurs "Wiem wszystko o "Robocie" i inne dobre imprezy.

Mając ciekawe plany, w przyszłość patrzy optymistycznie: "rozruszać" na nowo radiowęzeł (pierwsze kroki zostały już zresztą poczynione), zorganizować jakąś imprezę rozrywkową dla ... pracowników naukowych. Próbuje także swych sił w Studium Radiowym i w wielu, wielu innych dziedzinach.

— To wcale nie zła informacja jest przyczyną, że sala na tej czy innej imprezie jest pusta. Nieraz wystarczy wywiesić afisz w ostatniej chwili, a sala trzeszczy w szwach (przykład: sptkanie z Kobielą). Innym razem nie pomoże i tuzin ogłoszeń - krzesła będą puste.

Jego hobby: wszystko to, co wiąże się z kulturą. Ma słabą głowę do alkoholu i kobiet, ma też - jak twierdzi - poczucie humoru. Czyta każdy numer SIGMY, chociaż nie "od deski do deski" (notatki o jego pracy zamieszczaliśmy już dwa razy).

Z.S.

ZDZISŁAW LEŚNIAK - student IV roku Wydziału Elektroniki. Pełni obecnie funkcję szefa Komisji Turystyki RW. Od momentu, kiedy objął tę funkcję, dał się poznać jako świetny organizator. Dowodem tego są mikrorajdy elektroników, które już dawno przestały być rajdami mikro.

Na pytanie: czym się interesujesz? - odpowiedział: turystyka, turystyka i jeszcze raz turystyka. Nie jest to jednak prawdą w pełni, gdyż Zdzich jest zawsze wszędzie tam, gdzie coś się dzieje. Wiele serca i energii włożył w organizację wędrownych grup studenckich wykonujących prace społeczne, popularnie zwanych "spec-grupami".

Jest bardzo skromny; prosił, aby nie pisać o nim za dobrze i za dużo. Obiecałem, ale muszę dodać, że jest jeszcze dobrym studentem.

Jaga

HALINA TRELIŃSKA - III rok. Wydz. Chemii Studiów dla Pracujących.

Pracuję w Katedrze Chemii Nieorganicznej Uniwersytetu no i uczę się. Koniec z końcem wiążę. U nas jest wyjątkowo zgrany rok; wszyscy się znamy, przyjaźnimy, załatwiamy ogólne korepetycje, sami uczymy się wieczorami po domach. Wstręt do chemii fizycznej? Skądże znowu!

Jestem szefową ZSP na wydziale; starałam się porozumieć z Radą Wydziałową, trudno się z nimi dogadać, a mielibyśmy sobie dużo do powiedzenia.

Lubię operę; organizowaliśmy nawet spotkania muzyczne, nie lubię cukierków miętowych i siedzeń w nieogrzewanych salach wykładowych.

(mgr)

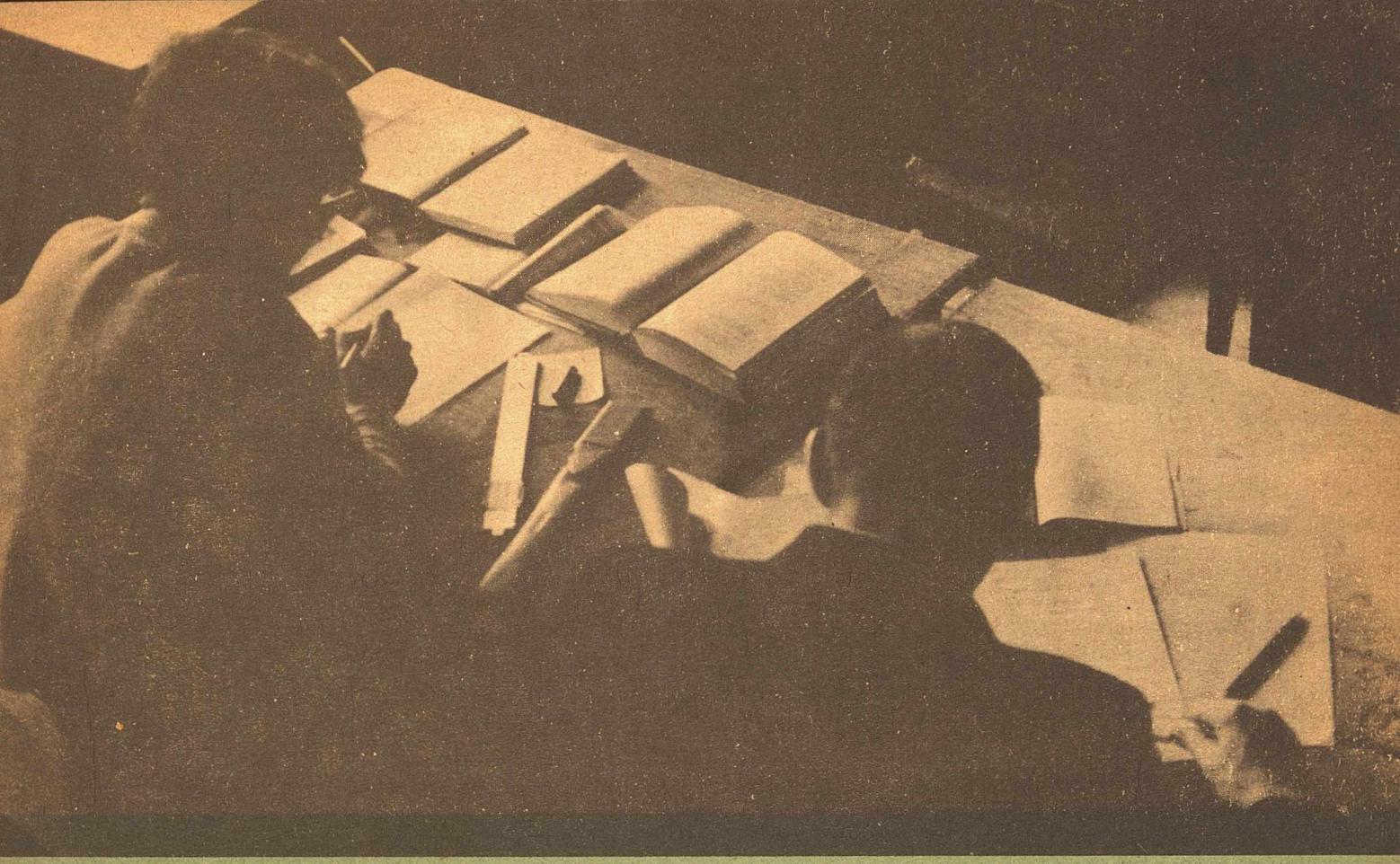

fot.A.Milli

Rzetelną nauką i społecznym zaangażowaniem służymy socjalistycznej Ojczyźnie.

Komitet Wykonawczy Rady Uczelnianej ZSP Politechniki Wrocławskiej

Przewodniczący RU	- Ludwik Bukowski
Wiceprzewodniczący d/s działalności propagandowo-politycznej	- Kazimierz Czechowicz
Wiceprzewodniczący d/s wychowania	- Kazimierz Więckowski
Wiceprzewodniczący d/s nauki	- Ryszard Waśniowski
Wiceprzewodniczący d/s studiów dla pracujących	- Mikołaj Firlej
Sekretarz	- Zbigniew Moroń
Przewodniczący Komisji Kultury	- Włodzimierz Fedkiw
Przewodniczący Komisji Ekonomicznej	- Jan Bielecki
Przewodniczący Komisji Domów Studenckich	- Henryk Brzozowski
Przewodniczący Komisji Zagranicznej	- Henryk Galina
Przewodniczący Komisji Finansowej	- Marian Król
Przewodniczący Komisji Wczasów i Turystyki	- Wiktor Chabowski
Przewodniczący Uczelnianej Komisji Rewizyjnej	- Andrzej Gabor
Przewodniczący Uczelnianego Sądu Koleżeńskiego	- Krzysztof Saraczyński

Przewodniczący Rad Wydziałowych ZSP:

Wydz. Architektury	- Antoni Drozd
Wydz. Budownictwa Lądowego	- Jan Majerski
Wydz. Chemii	- Jerzy Zoń
Wydz. Elektryczny	- Henryk Pawlęga
Wydz. Elektroniki	- Edward Bieleninik
Wydz. Górniczy	- Krzysztof Nowak
Wydz. Inżynieryjno-Ekonomiczny	- Jadwiga Płuc (starosta roku)
Wydz. Inżynierii Sanitarnej	- Stanisław Kajl
Wydz. Mechaniczny	- Zbigniew Korzeń
Wydz. Mechaniczno-Energetyczny	- Adam Żółtaniecki
Wydz. Podstawowych Problemów Techniki	- Mieczysław Szata

Zrzeszenie Studentów Polskich skupia około 5 400 studentów studiów dziennych (82%) i około 700 studentów pracujących (25%) naszej Uczelni.

mówią:

W związku ze zbliżającym się VII Kongresem ZSP i wyborami do władz Zrzeszenia w naszej Uczelni zwróciliśmy się do prorektora d.s. Rozwoju Organizacji i Planowania, doc.dr Tadeusza Porębskiego oraz I sekretarza Komitetu Uczelnianego, doc.dr Bogusława Kędzi - z następującymi pytaniami:

1. Jakie problemy Uczelni wymagają szczególnego zainteresowania ze strony uczelnianej organizacji ZSP?
2. Jakimi sprawami studenckimi powinien zająć się przede wszystkim Kongres?
3. Jak ocenia Pan dotychczasową działalność Zrzeszenia w naszej Uczelni?

Prorektor d/s Rozwoju Organizacji i Planowania
doc.dr TADEUSZ PORĘBSKI

1. Znalezienie kompleksowej odpowiedzi na to pytanie jest niełatwe. Nowa koncepcja procesu wychowawczego znajduje się jeszcze częściowo w sferze teoretycznej a droga do jej praktycznego zastosowania w pełnym wymiarze - dość długa. Jedno jest pewne: proces ten musi być bardzo intensywny. Podzieliłbym go na dwa obszary działalności: pierwszy - obejmujący zajęcia dydaktyczne a więc czas programowego pobytu studentów w Szkole; drugi - obejmujący czas pozaszkolny, czyli wolny czas studenta.

W zakresie obu obszarów widzę możliwość i potrzebę działania studentów i organizacji studenckich. Jednym z głównych zadań jest skierowanie wysiłku w kierunku kształtowania szacunku dla dobrej roboty - tak studentów, jak i pracowników dydaktycznych. Chodzi o wyrobienie takich cech, jak punktualność, terminowość, przekonanie, że programowe zajęcia i obustronnie ujmowane obowiązki są nienaruszalne. Chodzi także o zdecydowane zamknięcie drogi do uzyskiwania formalnego powodzenia w studiach metodą wybiegów, metodą stwarzania pozorów pracy. Niestety, nie wszystko w tym zakresie udało się nam zrealizować w stopniu (w przybliżeniu chociażby) zadawalającym. Tutaj też widzę jedno z głównych zadań Zrzeszenia: działanie obliczone na wytworzenie w zdecydowanie większym stopniu współodpowiedzialności studentów za proces wychowawczy i dydaktyczny a także wykształcenie przekonania, że jest to w równej mierze ich osobisty interes, zgodny w tym miejscu z interesem społecznym.

Młodzież i jej organizacje powinny pilnować, aby jak najlepiej wykorzystać zajęcia. Mam tu między innymi na myśli współudział w zbieraniu i opracowywaniu informacji dotyczących efektywności procesu dydaktycznego a także występowanie z własnymi postulatami. Życzylibyśmy sobie udziału studentów w przygotowaniu pewnych pomocy naukowych: prostej aparatury poglądowej, plansz oraz gotowych materiałów typu notatek z wykładów i zbiorów zadań z ćwiczeń, możliwych do wykorzystania, po korekcie, w charakterze wydawanych przez Szkołę uproszczonych skryptów.

Widzę duże możliwości Zrzeszenia w pracy organów samorządowych Szkoły. Chcę podkreślić, że samorządności nie rozumiem jako działania ograniczającego się do krytycznej oceny i postulatów. Samorządność - to również, a może nawet przede wszystkim, przyczynianie się własną pracą do realizacji postulowanych ulepszeń.

W sferze organizacji czasu wolnego studenta wyłania się również szereg spraw, które warto by podjąć. Mam na myśli przykładowo: wpojenie studentom potrzeby starania się o stan DS-ów, zagospodarowanie przestrzeni między nimi, pomocy - w formie pracy wakacyjnej - w budowie nowych obiektów Politechniki. Ogólnie biorąc - trzeba podjąć taki zespół działań, który będzie zmierzał do wytworzenia rzeczywistości i przekonania, że interes i dobro Szkoły można uczynić swoim własnym.

Uznanie i nagrody winni otrzymywać najlepiej i najwydajniej pracujący dla wykonania zadań najbardziej i najpilniej potrzebnych Szkole.

Dobra, wydajna praca, wymaga - oprócz innych warunków - także porozumienia i zgodnego współdziałania ludzi. Surowych wymagań ale i uprzejmości. Dokładnie określonych praw i obowiązków ale i zrozumienia. Sprawą, którą trzeba podjąć w najbliższym czasie, jest integracja społeczności politechnicznej. Pracownicy i studenci winni stanowić całość, której jedna część będzie zwiększać swą dydaktyczną aktywność a druga odrzuci w całości traktowanie studiów jako niedogodności, przez którą trzeba przejść.

Dobra praca Szkoły - jej rozwój, rozbudowa i znaczenie a także związany z tym osobisty sukces w skali społecznej naukowca i studenta - zależy od całej społeczności akademickiej. Niezbędne jest wzajemne poznanie się, poznanie swych problemów, sposobu myślenia. Do tego potrzebne są częste i bliskie wzajemne kontakty, najłatwiej osiągalne w ścisłej współpracy: w instytucie, kole naukowym, na wycieczkach, we wspólnie podejmowanych działaniach. Tkwią tu niebagatelne zadania także dla Zrzeszenia.

Liczymy na szerokie współdziałanie Zrzeszenia w wychowaniu ideowym. Pracy ZSP nie można rozdzielać na polityczną i wychowawczą lub może jeszcze na inną odrębną gałąź: bytową. W istocie w każdym rozwiązaniu praca ta stanowi określoną całość. Przewidujemy w Szkole realizację programu ideowo-wychowawczego idącego w dwu kierunkach; pierwszy: programowe zajęcia z przedmiotów teoretycznych - filozofii i ekonomii, na latach starszych - bieżąca informacja polityczna. Jako drugi - widzę potrzebę i konieczność dyskutowania i wyjaśniania określonych spraw nurtujących społeczność akademicką - będziemy go realizować poprzez wzajemne spotkania. Szczególną rolę widzę tu dla aktywu studenckiego, ponieważ z natury rzeczy nie sposób w społeczności tak wielkiej jak nasza organizować sprawnie dyskusje w pełnym gronie jednocześnie.

W perspektywie chcemy również zająć się studentami w okresie wakacji; w tym celu przewidujemy potrzebę utworzenia odpowiednich ośrodków wypoczynku.

2. Sądzę, że Kongres zajmie się zagadnieniem samorządności studenckiej, włączeniem Zrzeszenia w nurt pracy dla Szkoły.

Jest i inna, niezmiernie ważna, sprawa: prowadzenie intensywnego, aktywnego procesu dydaktyczno-wychowawczego wymaga między innymi nowych budynków i ich wyposażenia a więc - wielkich nakładów środków. Kongres mógłby centralnie postulować o ich wydatne a niezbędnie potrzebne zwiększenie.

W zakresie spraw, z którymi się stykam, nie widzę szczególnej potrzeby formalnych rozwiązań dotyczących zmian struktury Zrzeszenia.

3. Rada Komisaryczna w bardzo trudnym okresie wykonała dobrą robotę. Radę i aktyw Zrzeszenia cechowała duża troska, odpowiedzialność, chęć zmian. Reprezentowała rozważny nurt, a nie gorące głowy, powracając na platformę spraw dotyczących naszej Szkoły. Dojrzały obywatel nie poprzestaje na krytyce. Nie ma prawa do krytyki ten, kto tylko poprzestaje na niej.

Jedno wyraźnie, powiedziałbym, dotkliwie szwankuje: informacje przekazywane studentom o sytuacji, stanie i potrzebach Szkoły. Trzeba przyznać, że brak informacji nie pozwala studentom na uzyskanie zawsze i wystarczająco dokładnej odpowiedzi na pytanie: "co my możemy zrobić?" Zrzeszenie posiada jednak sporo dojrzałego aktywu i sądzę, że zagadnienie sprawnego przekazywania odpowiednio obszernej i dostępnej informacji może być przy jego pomocy pozytywnie rozwiązane.

Kierownictwo Szkoły podjęło w tym kierunku wysiłki (powołanie SIGMY - na przykład) i będzie je kontynuować.

doc.dr Tadeusz Porębski

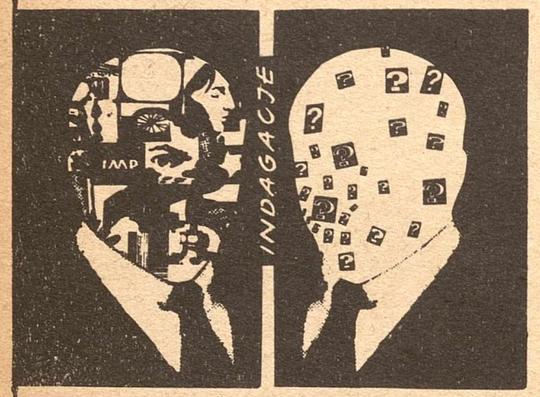

I sekretarz Komitetu Uczelnianego PZPR
doc.dr BOGUSŁAW KĘDZIA

1. Uważam, że szczególnie intensywnego współdziałania Szkoły i młodzieży, więc i jej organizacji, wymaga wielki kompleks spraw, które zwykle określamy mianem problematyki dydaktyczno-wychowawczej. Jest to w szkolnictwie wyższym szczególnie mocno zaniedbany odcinek działalności. Złożyły się na to niewątpliwie dotychczasowe etapy jego rozwoju, akcentujące przede wszystkim gwałtowny rozwój ilościowy szkół wyższych oraz kształcenie wysoko kwalifikowanych kadr naukowo-badawczych. W tej sytuacji praca dydaktyczno-wychowawcza była odsuwana na plan dalszy, a jej rezultaty - nierównoważnie doceniane w stosunku do wyników badań naukowych. Musimy przyznać, że na efekty pracy dydaktyczno-wychowawczej trzeba szczególnie długo czekać; pozytywy przejawiają się dopiero w wyniku zintegrowanego wysiłku całej kadry i młodzieży. Taki stan rzeczy spowodował wytwarzanie się - w sensie obywatelskim - aspołecznych, w sensie politycznym - antysocjalistycznych postaw, zarówno wśród części kadry jak też wśród niektórych grup młodzieży, których sens sprowadzał się często do hołdowania wąsko pojętemu, egoistycznemu interesowi osobistemu, unikania społecznego i politycznego angażowania się, traktowania pracy dydaktyczno-wychowawczej jako straty czasu, czy wreszcie do spełniania swych obowiązków jak "życiowego minimalizmu". Wywołało to dalsze skutki, polegające na osłabieniu i zanikaniu poczucia dyscypliny pracy wśród kadry, osłabieniu aktywności organizacji młodzieżowych, stępieniu ostrza ich politycznego działania, jak również zmniejszaniu się liczebności młodzieżowego aktywu społeczno-politycznego. Efekty takiego stanu odczuliśmy wstrząsowo wszyscy wczesną wiosną ubiegłego roku. Niedalecy są prawdy ci, którzy twierdzą, że gdyby nasza wspólna praca dydaktyczna i polityczno-wychowawcza stała na właściwym poziomie, to inny przebieg miałaby wiosna 1968 w naszej Uczelni; nie byłoby goryczy, rozdrażnienia i wzajemnych nieporozumień. Wierzę, że nie byłoby również politycznego jadu i nieodpowiedzialności w wystąpieniach i działaniu wąskich grup naszej uczelnianej społeczności.

Liczymy wszyscy na bardzo intensywne angażowanie się młodzieży we wszystkie, organicznie związane z Uczelnią ważne problemy, a do najważniejszych zaliczam:

- współudział w usprawnieniu procesu dydaktycznego poprzez wyszukiwanie jego mankamentów, wskazanie głównych trudności i kłopotów, które z niego wynikają, proponowanie konstruktywnych zmian ale i wytworzenie kultu solidnej pracy w wyniku zamiany układu: "życiowy minimalizm" na "maksymalizm życiowy" - a więc wysokie wymagania względem siebie jak i swoich współkolegów i kadry;
- szersze prezentowanie najbardziej charakterystycznej sylwetki studenta naszego kraju, sylwetki człowieka zawodowo i społecznie-politycznie głęboko zaangażowanego w budowę socjalistycznych stosunków międzyludzkich. W tym zakresie "studenci Wrocławia" a więc i nasza uczelniana społeczność ma wciąż jeszcze niespłacony dług względem społeczeństwa naszego regionu. Mam na myśli i marzec i maj 1968 r. A może wreszcie zaczniemy szerzej propagować swoją Uczelnię poprzez społeczne zaangażowanie na rzecz Wrocławia, czy Dolnego Śląska, nie mówiąc już o konieczności prac społeczno-użytecznych dla samej Uczelni - domów studenckich, organizacji ośrodków rekreacyjnych itp. Wymaga to jednak dużych poświęceń, rezygnacji z wygodnictwa i lenistwa, daje jednak w zamian dużą życiową przygodę i doświadczenie a co ważniejsze - społeczne uznanie;
- pomoc kadrze dydaktycznej w zbliżeniu się do problemów codziennego studenckiego życia zarówno w Uczelni, jak też poza nią, wciąganie jej na orbitę wszystkich waszych istotnych problemów. Wstyd się przyznać, ale wielu z nas oduczyło się, a wielu nie zdążyło się nauczyć, jak współdziałać z młodzieżą; właśnie ten wstyd często odpycha od szerszego angażowania się. Wymagać to będzie taktu i cierpliwości z waszej strony. Wysiłki jednak opłacą się - i wam i waszym następcom w murach naszej Uczelni;
- uczyć środowisko poczucia odpowiedzialności za własne słowa i czyny.

Można wymieniać jeszcze wiele zagadnień, którym powinny poświęcać uwagę organizacje młodzieżowe w Uczelni. Trzeba jednak od czegoś zacząć; wydaje mi się, że nakreśliłem program i tak bardzo obszerny.

2. ZSP w moim odczuciu zbytnio stroniło w swej działalności od akcentów ideowo-politycznych, co sprowadzało się do wychowywania aktywu wprawdzie sprawnego organizacyjnie, ale bez szerszych horyzontów politycznych, nawet wstydzącego się stać bliżej tych zagadnień, uchylającego się od organicznego współdziałania z Partią. Zbyt często tę stronę działalności po prostu komplementowaliście. Takie stanowisko prowadziło często do nieporozumień między waszym aktywem a aktywem ZMS-u.

Wierzę, że zagadnienia powyższe, jak i całokształt spraw związanych z życiem szkoły wyższej znajdą się w centrum zainteresowania VII Kongresu.

3. Obserwuję pracę organizacji ZSP na przestrzeni wielu lat. Oceniam ją bardzo pozytywnie. ZSP potrafi przede wszystkim tworzyć zwarte kolektywy ludzkie.

A działająca od maja Komisaryczna Rada Uczelniana?

Weszli oni w rytm pracy w kontrowersyjnej sytuacji; napotykali na duże trudności, to rzecz naturalna. Myślę, iż swoją postawą potrafili przekonać środowisko, że działają w jego imieniu, dla jego dobra. Wykazali przy tym wiele umiejętności, wywiązali się z nałożonych nań zadań. Jest jednak rzeczą samych studentów dokonać oceny - czy działali dobrze, czy to środowisko rozumieli, czy nie. Globalnie: ich praca przyniosła pozytywny efekt - wpłynęła na zmianę stosunku społeczeństwa i władz do studentów.

W moim odczuciu "odwalili oni kawał dobrej roboty".

doc. dr Bogusław Kędzia

DZIAŁACZ

Wykorzystując znakomitą okazję zebrania się dużej grupy aktywu ZSP na obozie w Zieleńcu i fakt, że był tam nasz człowiek, postanowiliśmy przeprowadzić dyskusję na temat działaczy tej organizacji. Zaprosiliśmy do wzięcia w niej udziału:

LUDWIKA BUKOWSKIEGO - przewodniczącego Rady Uczelnianej ZSP Politechniki Wrocławskiej,
PAWŁA CHOCHOLAKA - przewodniczącego Rady Okręgowej ZSP we Wrocławiu,
ANDRZEJA MIŚKIEWICZA - sekretarza RO ZSP,
JANA KLAMUTA - członka Naczelnego sądu Koleżeńskiego,
STANISŁAWA JANIKA - wiceprzewodniczącego RO, kierownika Komisji Nauki RO,
PLATONA WYSOCZAŃSKIEGO - przewodniczącego Uczelnianej Komisji Rewizyjnej ZSP WSE,
MIECZYSŁAWA NOWALICKIEGO - członka Naczelnego Sądu Koleżeńskiego.

Uczestnikom dyskusji, a zwłaszcza L. Bukowskiemu, za wkład w jej zrealizowanie, dziękujemy.

REDAKCJA

Red.: Jesteście gronem ludzi, którzy od szeregu lat - legitymujecie się bowiem co najmniej 5-letnim stażem - pracują w ZSP i nie są już studentami. Określa się was mianem działaczy. Chcielibyśmy, abyście wy sami powiedzieli coś o sobie - o działaczach. Niewątpliwie macie własne opinie o pracy w organizacji, o tym, dlaczego w niej pracujecie i jak do tego doszło, wreszcie chcielibyśmy usłyszeć i o tym, jakie korzyści przynosi ta praca, czy daje zadowolenie i w jakich warunkach. A może pracujecie dlatego, że gdzieś musicie się wyżyć, no a z czasem wchodzi wam to w krew?

P.W.: Organizacja może istnieć lub nie. Są inne rzeczy, dla których pracujemy: my, studenci, sami widzimy szereg braków tu, na Uczelni, pewne puste miejsca, które koniecznie trzeba wypełnić, czujemy potrzebę załatania tych dziur, potrzebę roboty, więc się włączamy. I nie kieruje nami potrzeba wyżycia się, wykazania, ale sens tej działalności widzimy w celu, do jakiego zmierzamy. Gdybym nie czuł potrzeby i inaczej: nie widział celu, dawno bym tę robotę rzucił ...

L.B.: Mówić, że pracuje się w ZSP dla wyżycia się, jest oczywistą wulgaryzacją. Aby się wyżyć, można przecież pójść na deski. Szary człowiek na ogół się w organizacji nie wyżywa, gdyby się tak stało, byłoby bardzo dobrze. Może zaczynając działać ma się ten aspekt na uwadze, ale dalej, to już nie ze względu na potrzebę wyżycia...

J.K.: Czy chodzi ci o potrzebę przydatności, czucie się potrzebnym, wnoszącym coś do środowiska?

L.B.: Oczywiście! I choć doświadczyłem wielu rozgoryczeń, wielu momentów zniechęcających, co absolutnie nie nastrajało do pracy, to nie zapominam o chwilach zadowolenia z dobrze spełnionego obowiązku, zwłaszcza gdy członkowie organizacji potrafili to docenić. I to przeważa. A w ogóle jest to kapitalny dla działacza moment, gdy dozna on satysfakcji, uznania dla swej pracy, szczególnie w momencie odejścia. Rzecz inna - aktyw. Sądzę, że są dwie drogi powstawania aktywu, ludzi, którzy kierują organizacją. I dwie grupy aktywu, które to różnice zresztą później się zacierają. Pierwsza to ci, u których koledzy dostrzegli pewne cechy; nazwijmy ich zespół cechami przywódczymi; mogła to być grupa studencka, czy inna nieformalna grupa ludzi. Drudzy - przyszli na Uczelnię z wyraźnie określonymi zainteresowaniami i w naszej organizacji znaleźli grunt do ich rozwijania. Łączenie w sobie tych dwóch sylwetek stwarza najlepszy aktyw.

S.J.: Gdy w szkole średniej ogranicza się człowiek często do konsumpcji, przychodząc na Uczelnię może to, z czym wcześniej zetknął się tylko jako odbiorca, sam tworzyć.

Współdziałanie...

Współdziałanie... Mówi się o nim różnie, jest bowiem słabym punktem pracy obydwu organizacji - i ZMS-u i ZSP. O tej współpracy rozmawia JERZY MAGER z przewodniczącym Zarządu Uczelnianego ZMS - SŁAWOMIREM KRYSTKIEM.

J.M.: Jak rozumiesz współdziałanie? Czy ma to być organizowanie wspólnych akcji, czy może działalność ciągła, a jeśli tak, to z jakich cząstek ma się ona składać?

S.K.: Musi ono być różne w zależności od szczebla, na którym się odbywa. Są trzy zasadnicze szczeble: grupa-rok, wydział, uczelnia.

Wszystko, co się dzieje w grupie studenckiej, obchodzi jednakowo obie organizacje; nic tu nie może organizować sam ZMS czy samo ZSP - po prostu dlatego, że cokolwiek się robi, robi się dla całej grupy. A praktycznie wygląda to tak: starosta grupy powiada, że trzeba to a to wykonać, więc ZSP robi to, a ZMS drugie.

Podobnie na roku; jest to zbyt mały zespół ludzi i zbyt bezpośrednio wszystko, co się tu wydarzy, oddziaływuje na całość, żeby pracować oddzielnie!

Powinno się robić wspólnie przeglądy i oceny semestrów, przyznawać świadczenia, co zresztą jest realizowane. Na wydziale pierwsze są sprawy nauki; współpraca między organizacjami jest tu konieczna. Wspólnie łatwiej jest forsować postulaty dotyczące naprawienia błędów popełnianych w systemie nauczania; czy będzie to niewłaściwie prowadzony wykład, czy złe ćwiczenia. Tymczasem brak współpracy daje wyniki odwrotne. Robić wspólnie można takie imprezy jak otrzęsiny, przyjęcie I roku, półmetki, no a indywidualne akcje, to znaczy robione przez jedną organizację, też.

Organizacyjnie powinno to wyglądać w ten sposób, że kierownicy komisji RW i ZW "dogadują się" w pewnych sprawach, a na zebraniu władz organizacji przedstawia się to. Jest do wyzyskania moment rozliczania za wykonanie badań, bo to nie jest to samo, co omówienie wykonania w gronie samego Zarządu czy Rady.

Na Uczelni - najściślejsza współpraca i reprezentowanie jednolitego stanowiska wobec władz: na zebraniach Senatu, wobec pionu d/s wychowania. Ustalenia powinny zapadać na posiedzeniach UKWOM-u (Uczelniany Komitet Współpracy Organizacji Młodzieżowych, przyp.wł.). Sami oczywiście będziemy organizować i dla naszych członków chociażby wręczenie sztandaru organizacji ZMS Politechniki, Seminarium poświęcone obronności kraju itp. Natomiast więcej inicjatyw, które wychodzą niejako na zewnątrz powinniśmy podejmować wspólnie: OHP, budowa basenu, stołówki dla Politechniki itp.

J.M.: Dlaczego tej współpracy nie ma, dlaczego o nią jest tak trudno?

S.K.: Są dwie przyczyny. Pierwsza - to t r a d y c j a; różnie się współpraca układała na przestrzeni lat, my w 1956 roku startowaliśmy od zera, ZSP wtedy było już potężną organizacją. Teraz jest nieco inaczej; liczymy 2 tysiące członków, no i gdy mówi się o życiu Uczelni, nie wymienia się przy tym jednym tchem ZSP, lecz jest mowa o o r g a n i z a c j a c h młodzieżowych.

Po drugie: Na Uczelnianej Konferencji ZSP wyszliśmy z gotowymi propozycjami współpracy ze Zrzeszeniem, a dotąd jest ze strony RU ZSP m i l c z e n i e.

Trudno o współpracę, gdy jedna ze stron się do niej absolutnie nie kwapi.

J.M.: Czy nie zachodzi obawa, że ktoś na tym może stracić i wobec tego - kto zyskuje?

S.K.: Na współpracy zyska przede wszystkim środowisko studenckie. Natomiast mogą stracić obie organizacje, ale należy mnie dobrze rozumieć: jeśli bezpośrednio tracą, to jednak pośrednio, na dalszą metę, zyskują, bo zyskuje ogół studentów, a organizacje są dla studentów.

J.M.: W takim razie czy nie chodzi przypadkiem w tym unikaniu współpracy o szyld?

S.K.: Chyba o to. Po 1 Maja Zrzeszenie było w trudnej sytuacji - Komisaryczna Rada Uczelniana, niektóre Rady Wydziałowe i Rady Mieszkańców. W tym okresie postawiono, słusznie zresztą, na odbudowę prestiżu organizacji; organizowano wiele imprez, trochę i ze względów prestiżowych, no ale nie można tego przeciągać w nieskończoność.

J.M.: Czy rysująca się zmiana profilu organizacji sprzyjać będzie współdziałaniu?

S.K.: Ona jest koniecznym warunkiem współdziałania. Zmusza też do poważniejszego traktowania przyjętych zobowiązań, inaczej bowiem ich zdanie nie będzie się na Uczelni liczyło.

J.M.: Które sprawy uważasz za najbardziej palące, tzn. gdzie należy stworzyć jak najprędzej jednolity front?

S.K.: Są to sprawy nauki, działalności wychowawczej w DS-ach, współpracy z SNS-em, podejmowanie prac na rzecz Uczelni, budowa bazy socjalno-rekreacyjnej.

J.M.: Jak widzisz organizacyjną stronę współdziałania na szczeblu Uczelni?

S.K.: Uważam za pożądane dwukrotne w ciągu semestru spotkania Komitetu Wykonawczego RU i Prezydium ZU, ale przedtem powinny nastąpić ustalenia między szefami poszczególnych komisji. Przewodniczący winni się kontaktować na bieżąco. Natomiast sprawy kontrowersyjne wymagające dyskusji i ustępstw powinny stawać na UKWOM-ie.

J.M.: W końcu współpraca też polega na "dogadaniu się". Czy trudności w tym nie są spowodowane między innymi i faktem, że obie organizacje posiadają działaczy etatowych, dla których ważniejszy jest patriotyzm organizacyjny niż świadomość, dla kogo się w końcu to wszystko robi?

S.K.: Tu masz rację, ale jest to zjawisko nieuniknione.

---

dokończenie ze str. 7

Jest to dla niego edukacją społeczną. Powtarzają się często opinie, że "to" dało mu więcej niż studia. Stał się na studiach człowiekiem w pełni społecznym, nauczył się rozmawiać z ludźmi, zabierać głos, bronić swych poglądów.

J.K.: Jeśli czuje się do organizacji sentyment, to przede wszystkim ze względu na atmosferę, jaka w niej panuje: bezpośredniość, bardzo szczera dyskusja, otwartość. Jest mniej monolityczna, nie ma w niej nic, co by glajszachtowało, znasz poglądy ciekawych ludzi. A obok przydatności pewne związanie: widzisz swą pracę, dużo pracy, rozmaite rzeczy chcesz popchnąć, dostrzegasz w wielu momentach kawałek własnego palca. Jest to ogromny bodziec. A zasługa na pewno i ekspansywnego wieku.

A.M.: Stawiam tezę: główne motywy pracy w Zrzeszeniu - to panujące tu nieskrępowanie i możliwość snucia własnych osobistych wizji, odważniejszych i bogatszych od tego, co zastajemy i - co najważniejsze - ich realizacja. Nieskrępowanie - znaczy to, że wytyczne nie obowiązują w ścisłych rygorach.

P.U.: Czy jest to "dobrze" w organizacji, czy też jeśli napotyka się na krytyczną ocenę, jest to "źle"?

Red.: Przez całe lata i jeszcze teraz działacie w Zrzeszeniu. Czy w związku z tym nie czujecie się trochę, jak w krótkich majteczkach, bo przecież Wasi dawni koledzy ze studiów są już w dorosłym świecie? I jeszcze jedno: jak były działacz czuje się w "normalnej pracy"?

J.K.: Ci ludzie patrzą na świat bardziej z własnej kieszeni, chowają się w siebie, więcej się za nimi wlecze balastu - przydatności dla siebie, niż za mną. Zresztą, gdy wyjdziesz z Uczelni wydaje ci się początkowo, że stałeś się trybikiem, nie wiesz, po co jesteś, nie widzisz, aby cokolwiek, co robisz, nosiło ślad twoich myśli, słowem - niczego nie tworzysz.

S.J.: Nieskrępowanie oraz możliwość posiadania i zrealizowania wizji mija w terenie. My chyba wyprzedzamy epokę, a gdy się pójdzie do normalnej pracy, zostaje się natychmiast otrzeźwionym.

P.C.: Od życia mniej po głowie dostają byli działacze.

L.B.: Tak, ale jest pewna grupa ludzi zdemoralizowanych, bo przy wejściu w życie nie znajdują atmosfery, odpowiedniego klimatu do realizacji swoich ambicji wychodowanych w ZSP i płacą za to rozczarowaniem.

J.K.: Z niejednym dyrektorem był na dobrej stopie jako - powiedzmy - członek Komitetu Wykonawczego, a tutaj widzi się na którymś tam szczeblu hierarchii dość daleko od tegoż dyrektora, którego spotyka raz na miesiąc w korytarzu, wysyłając w jego kierunku "dzień dobry".

A.M.: Tak źle nie jest; jest naprawdę mało przypadków zupełnych zaginięć, na ogół po czasie awansują (dosłownie), posiadają i rozwijają cechy działacza.

J.K.: Po prostu przez pierwszych parę lat go nie ma, no bo co: mieszkał dotąd w akademiku, jadał w stołówce, a teraz musi sobie układać życie; potem idzie w górę, bo ma cechy potrzebne, które nabył działając w Zrzeszeniu.

Red.: Powróćmy do was samych; czy nie sądzicie, że po ukończeniu studiów, tracąc najnaturalniejszą nić ze studentami, przestajecie ich znać, rozumieć? Stawiam, krótko mówiąc, problem: czy nie będąc studentem można reprezentować interesy studencie?

J.K.: Zadałem kiedyś pytanie pewnemu członkowi Komitetu Wykonawczego Rady Naczelnej: "Stary, jak długo będziesz przedłużał swoją młodość"? Moim zdaniem człowiek kończy się jako działacz, gdy przestaje mieć kontakt z środowiskiem. Istnieje tylko problem umiejętności zawiązania, ale nie tylko, bo i utrzymania, kontaktu. Natomiast znać środowisko można lepiej nie będąc w nim; na przykład ktoś mieszkający w akademiku, znać może je o wiele mniej, gdyż ocenia je poprzez swój pokój czy pokój sąsiadów. Znać środowisko - to znaczy czuć je.

L.B.: Niezupełnie, trzeba posiadać solidną wiedzę o nim: znać panujące w nim tendencje, wiedzieć o problemach omawianych aktualnie w tychże akademikach, mieć bliski kontakt z ludźmi - aktywem organizacji tego środowiska.

A.M.: Uważam, że duża grupa działaczy (szczebla RO, RN, przyp. wł.) jest wyobcowana ze środowiska. Nie ma wśród nich przywódców.

L.B.: Czy masz na myśli typ "przywódca marcowy"? A wyobcowanie - to nagminny i błędny pogląd instancji niższych o instancjach wyższych. Wynika to z rangi problemów, którymi się jedni i drudzy zajmują. Przyjeżdża z Warszawy facet i mówi o - wydawałoby się - oderwanych sprawach a my tu przecież mamy swoje konkretne i co nam tu on będzie gadał! A tymczasem okazuje się, że te są sprawami najważniejszymi organizacji, a ich własne - z konieczności mniejsze, choć tak bardzo ważne.

J.K.: Przywódca to ktoś, kto przychodzi do nieznanych ludzi i prowadzi ich tam, gdzie oni nie chcą. A u nas jest tak, że przychodzi Działacz do grupy, roku czy akademika i mówi; nawet go grzecznie wysłuchają i gdy wychodzą, jeśli to jest męska grupa, to może usłyszeć wiele najrozmaitszych odmian wyrazu "działacz". Chodzi o to, by nie był przywódcą formalnym, bo z racji stanowiska w organizacji.

P.W.: Gdzieniegdzie są przywódcy nawet wśród działaczy. W każdym razie w Uczelni istnieje konieczność przywództwa; musi być szefem organizacji ktoś, kto w równym stopniu posiada wyrobienie organizacyjne, jak też intelekt i popularność.

M.N.: Zależy od jego cech, on się z formatem rodzi. Wyróżniam tu rodzaje członków ZSP: 1° tych, którzy płacą składki; 2° działaczy, którzy idą zawsze z prądem; 3° działaczy z horyzontem; oni albo idą do góry albo są spychani w dół. Ci działacze mogą tracić kontakt w sposób paradoksalny - przez przeładowanie obowiązkami. I wtedy wytwarza się dystans. A oni m u s z ą po pierwsze - wykonywać swoje o r g a n i z a c y j n e o b o w i ą z k i, a po drugie - lansować p o s t u l a t y ś r o d o w i s k a.

Red.: A jaka jest obecnie atmosfera dla podejmowania działania społecznego w ZSP?

M.O.: Obecnie jest regres z wychodzeniem działaczy; przychodzący na studia reprezentują postawy konsumpcyjne, konformistyczne.

P.C.: Wprost przeciwnie, z masowych badań wynika, że coraz większy jest procent działających na młodszych latach. Obecnie nie ma warunków do konformizmu.

J.K.: Jest lepiej jeśli chodzi o zaangażowanie.

L.B.: W każdym okresie istniały problemy aktywu; jak to wygląda teraz?

J.K.: Teraz dyskutuje się o grupach studenckich, a przedtem - troską naszą było znaleźć ludzi do Rad Wydziałowych.

L.B.: Tak, aktyw mamy bardzo szeroki, jednak ważne jest, na ile jest to aktyw świadomy tego, co organizacja od niego wymaga. Obecnie jest niedobrze właśnie pod względem tak rozumianej jakości aktywu. Coraz więcej mamy wśród działaczy studentów bardzo dobrych, świadomych, ofiarnych, takich, na których zawsze możemy liczyć. I czy możemy ich wyróżnić? Ale nie czyni tego Uczelnia, w 90 % kadra nauczająca wręcz utrudnia pracę naszych działaczy, zamiast podnosić ich autorytet. I podczas gdy ze strony nauczających spotykamy niechęć, to ze strony władz - duże zrozumienie, a często życzliwą pomoc.

Red.: Podsumowania nie będzie. Bo dyskusja na temat działaczy nie może się kończyć na wypowiedziach ich samych. Są jeszcze członkowie organizacji, są ludzie, którzy się z działaczami codziennie spotykają, bo żyją i pracują w tych samych murach. Z poruszonych tu problemów - dalekich od wyczerpania całości zagadnienia - powstają inne: postawa moralno-ideowa aktywu ZSP, jego opinia o "szarym członku" - szczególnie interesująca wobec dającej się zauważyć anomalii, polegającej na rozszczepieniu ZSP na dwie organizacje: jedną członków i drugą - działaczy. Jacy wy jesteście, działacze; interesujemy się wami dlatego, że jesteście wśród nas i jednymi z nas - studentów.

---

* Dyskusję przeprowadzono w styczniu w Zieleńcu koło Dusznik.

Redakcja "SIGMY"

w/m

W związku z artykułem pt. "Komu Limbę" w 6-tym numerze "Sigmy" uważam za nieodzowne przekazać Redakcji kilka wyjaśnień, które moim zdaniem powinny być wystarczające dla zamieszczenia odpowiedniego sprostowania.

Otóż zacytowane w artykule liczby Autor zaczerpnął nie jak to napisano ze "sprawozdania ustępującej Rady Zakładowej ZNP" lecz z "informacji o działalności ZOZ ZNP w latach 1966-68". Opracowanie to, powielone w kilkunastu egzemplarzach w związku z akcją wyborczą w Radach Oddziałowych, miało charakter R ę k o p i s u i zawierało dane według stanu na dzień 1.X.1968 r., w związku z czym nie obejmowało m.in. ostatecznego rozliczenia letnich akcji wczasowych w roku 1968.

Opierając się na powyższych niekompletnych danych Autor artykułu doszedł do błędnego wniosku, że Rada Zakładowa na organizowanych przez nią wczasach z a r a b i a (przytoczono kwotę zł.120 tys.). Rzeczywistość zaś jest zupełnie inna. W latach 1966-68 Rada Zakładowa i Uczelnia (z nadwyżek socjalnych) do wczasów w Ustce, Karpaczu i Zachełmiu dopłaciły kwotę zł. 809 tys., z tego w roku 1968 - 345 tys. (nie licząc kosztów remontów ani oczywiście amortyzacji).

Nie jest również prawdą, jakoby opłaty za wczasy w Ustce były wyższe od opłat za wczasy FWP. Przy zarobkach powyżej 1000,- zł (mniej na Politechnice prawie nikt już nie zarabia) stawki u l g o w e FWP za 14-dniowe wczasy wynoszą od 240,- do 600,- zł, odpowiednie stawki w Ustce i Karpaczu od 280,- do 560,- zł. Dodać trzeba, że w domach FWP dzienna stawka żywieniowa (koszt surowca) wynosi bodajże 21,- zł, w naszych ośrodkach - 28,- zł.

Pomijając pomniejsze nieścisłości wydaje mi się, że w powyższych sprawach czytelnikom "Sigmy" należy się odpowiednie wyjaśnienie.

Natomiast na zakończenie osobiście nie mogę powstrzymać się od wykorzystania bardzo cennej myśli Autora wspomnianego artykułu - cytuję: "gdy jakiś pogląd ma odnieść skutek, to jego argumentację musi cechować dokładność i precyzja - każde słowo zobowiązuje i gdy dociera do ogółu, staje się faktem politycznym ..." Myślę, że odnosi się to także do słowa pisanego w poczytnej "Sigmie" ...

Z poważaniem

A.Dziendziel
PREZES RADY ZAKŁADOWEJ ZNP
w latach 1966-68

OD REDAKCJI:

oniżej zajmujemy stanowisko wobec listu docenta Alfreda Dziendziela w sprawie artykułu "komu Limbę":

Pragniemy zauważyć, że niezależnie od werbalnych różnic w tytule materiałów - przytaczanych w liście A.Dziendziela - oraz jego dalszych wyjaśnień i podkreśleń, autor artykułu "Komu Limbę" nie miał najmniejszych powodów do traktowania materiałów, z których korzystał jako niepewnych, tym bardziej, że były one podstawowym źródłem danych o działalności Rady Zakładowej dla wszystkich członków ZOZ na zebraniach wyborczych oddziałowych organizacji związkowych. Fakt umieszczenia w budżecie prowizorycznych danych liczbowych obok liczb dokładnych, bez właściwej uwagi o niepełnym charakterze tychże, należy określić jako własne pomyłki czy niedopatrzenia Rady Zakładowej. Dziwi nas stanowisko, w którym przypisuje się te omyłki odpowiedzialności osób trzecich, którym co najwyżej można by zarzucić zbytnią ufność.

Redakcja nie rozporządza jednak aparatem sprawdzania i kontroli danych, które autorzy czerpią z oficjalnych źródeł. Nie ma takiego zwyczaju i chyba też nie jest to potrzebne.

Co natomiast powiedzą adresaci danych - członkowie politechnicznej organizacji ZNP* - opierający swoje oceny a także decyzje, w kampanii wyborczej, na nie sprawdzonych materiałach - pozostawiamy do dyskusji.

Prawdą jest, że informacje przedstawione na Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej w dniu 20 grudnia 1968 r. zawierają inne dane o dyskutowanym punkcie budżetu, zgodne ze sprostowaniem podanym w liście byłego prezesa Rady Zakładowej ZNP, doc. A.Dziendziela. Numer 6-ty "SIGMY" ukazał się jednak 5 grudnia 1968 r., co przesądza możliwość wykorzystania przez nas informacji konferencyjnych.

REDAKCJA

---

*Część zespołu redakcyjnego SIGMY-to także członkowie ZNP

ZAWSZE SIĘ ZNAJDZIE JAKIŚ STUDENT...

Student - słowo wieloznaczne i kontrowersyjne. "Student" w rubryce "zawód" różnych ankiet i dokumentów znaczy wiele: jest synonimem niemal wszystkich profesji. Czasem mówią o nas szumnie: przyszli "oficerowie postępu", "oficerowie przemysłu".

Czy jednak możemy ustalić cechy charakterystyczne, wyróżniające brać studencką w społecznym tyglu?

Nie nosimy uniformów (może za typowo studencki strój należałoby uznać sakramentalne, pekaowskie "rifle"), próby powrotu do tradycji noszenia czapek odpowiedniego kroju i koloru skończyły się niepowodzeniem; dziś logiczniej będzie widzieć w posiadaczu białej czapki przysłowiowego już big-bitowca niż kogoś z żaków.

Czyżby więc jakaś niepowstrzymana "dezintegracja" opanowała nasze środowisko, czyżbyśmy stracili status grupy społecznej o określonych cechach, prawach, zwyczajach, obrzędach?

Wydaje się, iż nie jest tak źle!

Ostatnie obserwacje i doniesienia naszych korespondentów wykazują, iż społeczność studencka - a przynajmniej wielu jej przedstawicieli - czyni wszystko, aby nie przestano się nią "interesować"; lubi nawet czasem oczarować, zaszokować tzw. opinię. Bogata tradycja zobowiązuje! Aby nie zapomniano o istnieniu i randze sporej - bądź co bądź - grupy ludzi, aby nie sądzono, iż brak nam inicjatywy, pomysłowości, oryginalności, ambicji - bo pochłania nas bez reszty nauka i zdobycie dyplomu. Aby mówiono o nas "oto studenci", "to mógł zrobić tylko student".

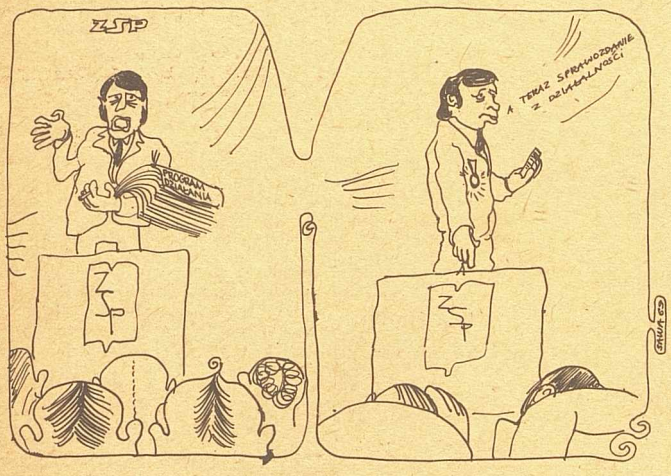

Na przykład rajdy turystyczne dostarczają wyjątkowo dużo okazji do pokazania się otoczeniu od strony najbardziej nietypowej. Swego czasu do pewnego podgórskiego miasteczka przyjechała na "feralny rajd" grupa studentów. Dzięki alkoholowi i rozróbce w stylu "pijany zając" - cel: ciekawe zaprezentowanie się - został osiągnięty! Dzieciarnia miała niezłą zabawę, a w miasteczku długo jeszcze znacząco kiwano głowami na sam dźwięk słowa: student. Wydaje się zresztą, iż w tej dziedzinie i tak nie wykorzystano jeszcze wszystkich możliwości.

Przykład nieco innego rodzaju pomysłowości można zaobserwować w czasie ogólnopolskiego "pospolitego ruszenia" czyli w okresie świątecznych wojaży. Na dworcach - wiadomo - tłumy - w wagonach głowa przy głowie, wśród stojących na ogół ludzie dorośli, kobiety. Jak zwykle w takich sytuacjach miejsca siedzące zajmują ludzie "cokolwiek" młodsi, wśród których nie może zabraknąć studentów. Jak zapewnić sobie dobry nastrój w podróży, czyli miejsce siedzące? Wystarczy stworzyć dobraną grupę wypadową, w której znaleźliby się "specjaliści" od szturmowania drzwi, przedzierania się przez tłum i zajmowania miejsc. Wykonanie "zadania" nie powinno nastręczać trudności, zwłaszcza że w czasie świątecznych exodusów główną część tłumu pasażerów stanowią ludzie o zmniejszonej ruchliwości z racji posiadania bagażu, dzieci, rodziny. Reszta to już drobiazg: bagaże podajemy oknem, sami również skracamy sobie drogę, dostojniej jest jednak wejść drzwiami. Przeciskając się przez tłum stojących w korytarzu nie zaszkodzi rzucić mimochodem:

— Przepraszam, jestem studentem, mam zarezerwowane miejsce! Pewne dane wskazują, iż przysparza to studentom więcej "splendoru" niż ugrzecznione:

— Proszę, niech pani usiądzie, ja postoję.

Zajrzyjmy teraz na zebranie Rady (w tej chwili nie jest istotne jakiej - Uczelnianej, Wydziałowej czy też Mieszkańców...), po prostu na zebranie grupy tzw. działaczy. Omawiana jest działalność poszczególnych komisji. W pewnej chwili jeden z uczestników ożywionej dyskusji doznaje olśnienia, podrywa się i mówi:

— Proponuję zorganizować w czwartek spotkanie z profesorem X, bardzo ciekawy człowiek...

Na to sekretarz:

— Dobrze, stary, ale najpierw napisz plan pracy na semestr, my to zatwierdzimy.

Ktoś inny dorzuca:

— W czwartek jest "Kloss" - wykluczone.

Jeśli miałbym odpowiedzieć na pytanie: jaka jest najczęstsza obsesja działaczy ZSP - odpowiedziałbym: obsesja tzw. "planów pracy" czy "programów działania". Nie powiem, miło czytać takie programy. Toż to całe poematy, czasem powieści-rzeki, pełne idyllicznej harmonii, współpracy, aktywności młodych ludzi: zorganizowanie tego, zrobienie tamtego, przygotowanie owego, akcje, akcje, akcje ... A gdyby tak zacząć działać, zamiast pisać programy działania?

Przy okazji warto dodać, iż tzw. "sprawozdania z działalności" są zazwyczaj bardziej "dopracowane" i zawierają kilka razy mniej stron niż wcześniejsze programy. Miejmy także nadzieję, iż nasze "Tezy na VII Kongres ZSP" będą wyjątkiem od powyższej reguły, to znaczy, że sama dyskusja kongresowa i przebieg Kongresu będą bogatsze w treść i konkrety, niżby to wynikało z "Tez".

Na jednej z bardzo ważnych konferencji działaczy Zrzeszenia doszło do niezwykle znamiennej polemiki. Regulamin konferencji (a jakże, regulamin - zgodnie z najnowszymi osiągnięciami w dziedzinie odbywania konferencji) przewidywał tajne głosowanie. Kiedy doszło do prezentacji kandydatów z tzw. listy oficjalnej, okazało się, iż jest ich akurat tylu, ile jest mandatów. Podejrzywano, iż dalsze kandydatury padną z sali, aby litera statutu ZSP i idea tajnych wyborów zostały zachowane. Jakież było zdziwienie audytorium, kiedy prowadzący wybory oznajmił, iż nie tylko zgłaszanie dalszych kandydatów byłoby niewskazane, ale należałoby zastąpić głosowanie tajne - jawnym.

Znaleźli się jednak oponenci, doszło do formalnej utarczki słownej; sala oczekiwała w napięciu.

Tajność głosowania zachowano, przeforsowano jeszcze jedną kandydaturę - uff - jednak wspomnienie prowadzącego wybory, któremu sofistyczne przelicytowywanie się z audytorium sprawiało niejaką satysfakcję - rzuciło cień na całą konferencję. I to w sytuacji, kiedy w dyskusji przedkongresowej kwestionowało się słuszność zasady rotacji; kto wie czy stosowanie wobec niektórych działaczy tej reguły nie byłoby pożyteczne? Byle tylko odchodzili możliwie wcześnie!

Wiele można by mówić o naszej "pomysłowości". Wypada też wspomnieć o tzw. weryfikacji czyli adnotacjach w legitymacji ZSP typu: udział w akcji x, kierownictwo sekcją y itd. - i jej następstwach. Dopóki robiło się to dla celów, nazwijmy to tak, prywatnych, niejako "na pamiątkę", zasadę pracy społecznej - jako zajęcia przynoszącego li tylko osobistą, moralną satysfakcję - zachowywano. Nie była to praca dla wszystkich, bo do tego trzeba mieć przynajmniej ochotę. Kiedy jednak zaczęto przeprowadzać całe akcje pod nazwą: weryfikacja, wielu "odkryło", iż praca społeczna to niezły "byznes", że się opłaca" według rachunku typu: 5 prac społecznych - wczasy, 10 prac - wycieczka zagraniczna.

Można było usłyszeć:

— Trzeba zacząć pracować społecznie, może wyślą na praktykę zagraniczną!

Proponuję wzbogacić nasz asortyment akcji o jeszcze jedną: o "weryfikację pomocy koleżeńskiej" (oczywiście z adnotacjami w legitymacji) według przeliczenia: za udzielenie 100 razy pomocy kolegom w nauce - medal, za 50 "pomocy" - wczasy.

Udział wszystkich studentów w pracy społecznej zapewniony! A jaka "bomba" w sprawozdaniach!

Spotykamy, jak widać, potknięcia w pogoni za oryginalnością, pomysłami, wzbogacaniem tradycji, ale ... nie bądźmy zbyt wymagający w czasach - jak to się ktoś ładnie wyraził - wielkich przewartościowań i drażliwości. Tym bardziej, że sama przynależność do społeczności akademickiej, sygnalizowana odznaką organizacyjną w klapie (... a jednak nas po tym poznają!) może narazić nas czasem na przykrości. Exemplum: w czasie ostatniego pobytu w podgórskiej miejscowości wypoczynkowej, w kawiarni podeszło do mnie i mego kolegi dwóch młodych, rosłych ludzi.

— Panowie studenci, tak? Może się coś nie podoba, co - nie podoba się, tak?... Skąd jesteście?

Gdyby nie cierpliwość mego kolegi i jego dyplomatyczne zdolności - mogło być ... niewesoło, zważywszy, iż nie mam postury atletycznej.

Zatem afiszujmy się ... ostrożnie!

TADEUSZ MARIANOWICZ

JUŻ STAROŻYTNI...

POMIĘDZY DNIEM A NOCĄ

Telewizyjny "święty", czyli Roger Moore, w jednym z ostatnich wywiadów powiedział: - Wstaję rano i wpierw czytam nekrologi w gazecie; jeśli tam nie ma mojego nazwiska, idę do pracy.

Ja również wstałem rano, a że nie posiadam służby, nie mogłem rzecz jasna - zajrzeć do gazety w poszukiwaniu swego nekrologu. To naturalnie wcale nie stanowiło dostatecznego upoważnienia, aby nie iść do swoich codziennych zajęć, ale brakło również dostatecznych dowodów na stwierdzenie tamtego pierwszego. I tak już zostało; zostało zawieszone pomiędzy niebem a ziemią, pomiędzy dniem a nocą - nieoczekiwane a jednak trywialne: była noc, jest dzień, a może był dzień i jest noc, bo przecież nie może być noc i noc, dzień i dzień. Ktoś mądry powiedział: - Jesteśmy tu tylko pielgrzymami. A drugi ktoś dodał: - Zdążamy do pierwszego brzegu Styksu, by czcigodny starzec, Charon, przewiózł nas na drugi brzeg. - A ja powiem: - Jesteśmy pomiędzy dniem a nocą, zawieszeni w czasie.

Trywialne? Powiedzcie więc, co nie jest trywialne?

Wiem. Odpowiecie: - Nietrywialnym jest to, co jest autentyczne. Nietrywialnym jest to, że mamy sesję, zaliczenia, egzaminy; musimy pracować, by utrzymać się na fali. Zgoda; to wszystko prawda, ale również prawdą jest, że powiedziano wam: - macie sale wykładowe, może nie najlepsze; macie laboratoria, nie zawsze dobrze wyposażone; macie domy akademickie, stołówki, biblioteki, sportowe kluby i takie inne kluby, gdzie możecie pić wino, tańczyć, całować się w ciemnych kątach. Powiedziano wam: - Macie to wszystko, czyli macie to, co jest niezbędne, a reszta należy do was.

Reszta - to przyszłość. Oni, ci starsi, ofiarują ją wam, oddają; ba - pchają was ku niej, a wy niekiedy się wzbraniacie, niekiedy zachowujecie się tak, jakby ktoś was wepchnął do ciemnego, pełnego dzikich bestii boru nie dając do ręki żadnej broni. A przecież tak nie jest. Przyszłość - to rzeczywiście nieskończony, pełen tajemnic bór, ale jeżeli wy tam pójdziecie - będziecie mieli szansę przeżyć niejedno. A to przecież się liczy, i będzie się liczyć, w dzień w noc, pomiędzy dniem a nocą.

Oni - wystawiając na pastwę przyszłości-wyposażyli was w potężną broń: wiedzę. Dali wam wszystko, co mieli; reszta należy do was.

Tak pomiędzy dniam a nocą, jesteśmy: my, wy, oni. Trwamy w czymś, co nazwano czasem, trwamy w jego różniczce, od - do, w znikomej cząstce, ale kiedy scałkujemy przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, otrzymamy krzywą cywilizacji. Od was zależy, w którym jej miejscu odnajdziecie siebie.

Jest sesja: sala wykładowa, sala ćwiczeń, akademik, prywatna kwatera jest twoim domem. Mieszkasz tam z książką, ze skryptem, z zeszytem. Jest sesja; odkładasz spotkanie z dziewczyną, chłopcem, odkładasz brydżową noc, grzane wino, taniec; przenosisz to w przyszłość. Czasem myślisz: "Odkładam radość, przesuwam ją na dalszy plan". Ale czy zastanowiłeś się, że radość leży nie gdzie indziej a w poznawaniu? Poznajesz dziewczynę, chłopca, przyjaciela; poznajesz smak wina i rytmy muzyki, ale poznajesz również wiedzę. A więc wcale nie oddalasz radości - ona jest, tylko jej na razie jeszcze nie zauważasz; ona jest, tylko trzeba ją zobaczyć, rozpoznać. Spłynie na ciebie podczas pozornie nudnych, nieprzyjemnych zajęć. Otwórz szerzej oczy, na pewno ją zobaczysz ...

Pamiętasz? Kończył się rok 68, tamtych troje biegało wokół księżyca, ktoś zbombardował Bejrut, czy inne miasto, na polach ryżowych zakwitły czarne kwiaty wybuchów, strzelała artyleria; wielki srebrny ptak zamienił się w srebrnego lisa z czarną kitą, biegł w kierunku ziemi, by tam stać się pioruputszem ognia i dymu. Katapulta wyrzuciła białą czaszę, czekali na nią ludzie o skośnych oczach, by napełnić ją ryżem w hotelu z apartamentem o twardej pryczy. Wysłał list, do żony, do matki; ale gołąb pocztowy zawisł nad czerwonym wschodem, otruł się wodorowym grzybem z herbaciarni w Pekinie. A tamci nanieśli w kapeluszach tyle piasku, że powstał mur, wysoki na metr sześćdziesiąt, akurat na przeciętny wzrost Chińczyka. Święta krowa z Delhi nie potrafiła go przeskoczyć, zaplątała się we włosy kaszmirskiego dywanu. Tylko Budda się śmiał nad pomarłymi z głodu dziećmi, jego kamienne piersi nie dały mleka białym politykom, dlatego rycerze paryskiego stołu nie przestali posyłać napalmu. Od tego gorąca zemdlał zawodnik w Mexico; czarny był od dymu Nowego Yorku. Zagasł znicz, bo pingwinom na Antarktydzie było nadal zimno. Nie zagrzeje ich Polak swoją spirytusową lampką w kabinie malutkiego jachtu. A tamtym dwóm potrzebna była benzyna do wygrania rajdu, ale oni nie stanęli przed sądem, nie byli załogą szpiegowskiego okrętu, nie robili żadnych zamachów na izraelski sprzęt fabrykowany przez statuę wolności, oni nawet nie przejechali przez Suez - dostali tylko pozdrowienia od skrawka Polski, blisko Czerwonego Morza ...

Zapamiętaj - to wszystko się działo; nie ma w tym porządku, zapamiętaj - było to wszystko w dzień i w noc, było pomiędzy jednym a drugim. Jesteś potężny, do ciebie będzie należeć przyszłość, ci starsi wyprawią ciebie w nią, przygotują. Zapamiętaj - masz do wypełnienia swój los, i tylko od ciebie zależy, jakim go wybierzesz. Nieważne, iż w końcu dostaniesz się na drugi brzeg, tam popłynie każdy, ale zanim to się stanie, musisz wypełnić przestrzeń pomiędzy dniem a nocą.

TUTMOZIS

Dajcie nam szansę

W końcu listopada powstał na przekór wszystkim trudnościom (rodził się dwa lata) AMATORSKI KLUB FILMOWY przy Radzie Wydziałowej ZSP Wydziału Architektury.

Trudno go jeszcze nazwać Klubem; na razie składa się nań grupa zapaleńców z całej Politechniki. Klub powstał z myślą o całej Uczelni - bez środków, sprzętu i pomieszczenia. Ale działa! Zajęcia odbywają się regularnie w licznym gronie studentów i asystentów, nawet z projekcjami filmów amatorskich!

Wszystko trochę "na wariata", bo o kamerze - bez kamery, o realizacji - w marzeniach. Ponadto program obejmuje opanowanie teorii filmu: język, montaż scenariusza. Sposób prowadzenia zajęć - samoobsługowy; ci którzy mają doświadczenie (zdobyli je przy AKF innych uczelni) i trochę wiadomości, przekazują je bardziej "świeżym".

Oczekujemy pomocy i opieki nie tylko od ZSP ale od całej Uczelni. Tu prośba do instytutów o udostępnienie nam często nie wykorzystywanego sprzętu filmowego na 8 i 16 mm. Zazwyczaj tak się już dzieje, że pomocy udziela się wtedy, gdy już się czymś "wykaże". Nam trudno wykazać się filmami bez kamery, stołu montażowego, taśmy i nożyc, ale zapał (nie słomiany) i liczebność AKF-u świadczą o zainteresowaniu studentów i naukowców filmem.

Jest tu także zawarta, tak modna ostatnio, sprawa wychowania przez działanie, pracę i sztukę a także możliwość stworzenia platformy w stosunku: pracownik naukowy - student na gruncie neutralnym i na zasadzie "równości".

Plany mamy ogromne: szkolenie filmowców - amatorów w zakresie realizacji i teorii filmu, realizacja filmów oraz działalność usługowa na rzecz Uczelni.

W naszej Uczelni przekonano się, że eksperymentować warto - więc DAJCIE NAM SZANSĘ!

Klub otwarty w soboty - godz. 16^{00} sala 337 Gmach Główny.

JACEK-PROT MACHNIKOWSKI

Bal z Baśką

Wybraliśmy się więc z Baśką na pierwszy nasz karnawałowy bal.

W czwartek wieczorem oderwano mnie od zastawionego spirytualiami stołu - to Maciek obchodził urodziny:

- Chcesz pójść na bal na Politechnice?

Takich rzeczy nie trzeba mi dwa razy powtarzać, tym bardziej, że na zaproszeniach Rady Zakładowej ZNP dyskretnie zamazano 50 zetów za wstęp.

Już w szatni zaskakuje mnie błyszcząca kreacja bardzo a bardzo ładnej pani. Aula wydaje się niska, mała, żadne tam "dostojne" mury. Stolik mamy izolowany od reszty kilkunastoosobowej braci studenckiej.

Rozglądamy się: panie wieczorowo - czegóż na siebie dziś nie włożyły! Długie suknie, fruwające motylki z szyfonu, kamizelki ("mąż nie kazał w szyfonie tylko" - podsłuchane), szmizjerki z brokatu, głowy w loczkach, to znów długie, proste włosy. Panowie wytworni, chociaż obok mego stolika jakiś "balowicz" wydziera się, że przez jego ręce przechodzi 10 milionów i co on na tej Politechnice znaczy. A po mojej odpowiedzi "Jestem filatelistą" na jego: "Panie, niech pan tak nie patrzy, bo ja jestem bokser", przejawia niedwuznaczne zamiary wobec ... siedzącej obok babki ... balzakowskiej. Słowem: bawimy się wspaniale!

Gra jazzband, pohukuje refrenistka, skrzą się dowcipy (o księgowym) konferansjera. Za chwilę konkurs - kto najśliczniej omota swą panią papierzyskami; wygrywa chemik (ja też jestem chemikiem, panie zwycięzco), gdzieś pan był, panie Dior w tym momencie?

Spotykamy znajomych, redakcja niemal w półkomplecie (zaproszeń nie stało, zaproszeń - przyp.red.). Na stołach pojawiają się różne wódeczności, skaczemy z Baśką na małego drinka. Zbieramy się, za chwilę płynie: "... ach czegóż, ach czegóż mi brak - Zrzeszenia, Zrzeszenia ..." Przyłączają się starsi koledzy, więc "... ułani, ułani ...", ktoś traci przy naszym stoliku pochopnie butelkę winiaku, przeurocza pani Irena przed czymś nas przestrzega z łobuzerskim uśmieszkiem (proszę wpaść do redakcji przypomnieć). No ale dajmy się wykazać orkiestrze... Co, już piąta?! A wokół coraz śmielej stawiano każde pas.

Dziękujemy! Dzięki temu niedziela wydawała się jeszcze słoneczniejsza!

fot. K. Janiszewski

SAF - H. Filipionek

planologia stosowana

Jest pewne zajęcie, z którym - chcąc nie chcąc - mają do czynienia niemal wszyscy studenci i znaczna część pracowników Szkoły. Pomijając oddychanie i inne jeszcze wspólne dla wymienionych grup czynności, mowa może być oczywiście tylko o pożyciu z rozkładem zajęć. Stosunek wzajemny trzech wspomnianych elementów: studentów, rozkładu zajęć i pracowników dydaktycznych, wart jest każdego ujęcia: jako cybernetyczny układ sprzężeń, jako materiał dla socjologa, gastrologa, psychologa a także dla poety. Jest to krótko mówiąc, temat-brylant godzien spojrzenia z każdej strony. Być może mógłby on także zainteresować specjalistę od planowania.

rendez vous serieux

Sens sporządzania rozkładu zajęć zaakceptujemy bez dyskusji. Obyczaj stosowany w dysertacjach każe jednak wspomnieć o tym, na wszelki wypadek, ażeby nikt nie mógł przypuścić, że autor zgoła nie zastanawiał się nad możliwością odrzucenia tematu jako nieistotnego.

Teraz musimy zaryzykować definicję. Oczywiście roboczą i niepełną (wg znanej formuły: "dla potrzeb niniejszych rozważań"): A więc przyjmijmy, że: rozkład zajęć jest to zbiór informacji, na podstawie których studenci powinni móc spotkać się ze swoimi nauczycielami w określonych punktach geograficznych. Zwykle zakłada się także, że określeni studenci mają przebywać z właściwymi pedagogami w tym samym czasie i miejscu /które się do tego nadaje/ oraz że obie strony z grubsza mają być zorientowane co do hasła spotkania. Co tam będą robili i jak - to już odrębna sprawa, o którą niech martwią się programiści nauczania i technologowie - pedagodzy.

Powyższe określenie razi maksymalizmem wymagań i trąci staroświeckimi ciągotkami do ścisłego determinizmu, niezbyt właściwego w świecie, który, jak wiemy, jest nieco probabilistyczny. Pozostawimy je jednak na razie.

korzenie

Z czego wyrasta plan? Od razu, niestety, odstąpimy tu znów od czystości i elegancji klasyfikacyjnej i przedstawimy mieszaninę informacji w idei docenianych, uwzględnianych a także, być może, i mniej docenianych a nawet i nieuwzględnianych.

Zacznijmy od bazy: faktycznego tabu;danego do realizacji w danym semestrze programu nauczania. Zawiera on przedmioty i formy ich realizacji, a także ilości godzin w odniesieniu do grup i "lat". Dana jest także ilość grup i "lat". To jest zadanie.

Teraz warunki ograniczające:

Znana jest ilość rozporządzalnych pomieszczeń, zakłada się, jak się wydaje, że powinna być znana ich pojemność i wyposażenie a nawet zakres przydatności tego wyposażenia.

Ilość pracowników i możliwość ich przyporządkowania określonym przedmiotom może być poznana ale przeważa, jak można ocenić (poza wybitnościami), instytucjonalny przydział przedmiotów.

Bez większego trudu można się zaopatrzyć w główne warunki: prof. X nie wykłada przed 11^{00}, a Y po 9^{00} (najchętniej robiłby to o 5^{00}, ale uprzejmie gotów zgodzić się na kompromis: 7^{30}). Katedra (w dawnej strukturze - przyp. red.) „Z" o 10^{00} ma od 561 lat zebranie w czwartki, a docent M jest absolutnie zajęty w środy.

Za warte uwagi uznawane bywają takie fakty, jak godziny wydawania posiłków w stołówkach, godziny działania komunikacji miejskiej oraz ilości godzin trwania doby. Uznaje się zwykle za pomijalne: fazy księżyca i Wenus, warunki klimatyczne pór roku, kolory oczu studentek oraz okresy emisji "Kobry", "Stawki" i "Czterech pancernych" w TV. Słuszność niektórych ostatnich pominięć bywa czasem kwestionowana.

Istnieje jeszcze grupa pewnych warunków o odrębnym statusie: można ją nazwać higieniczno-estetyczną. Do niej między innymi zalicza się zalecenie likwidacji "okienek" a nawet psychiczne luksusy uwzględniania urozmaiceń właściwego następstwa zajęć.

Zestawienie powyższe, chociaż długie, nie jest zapewne kompletne. Pozostawimy je narazie takim, jakie jest.

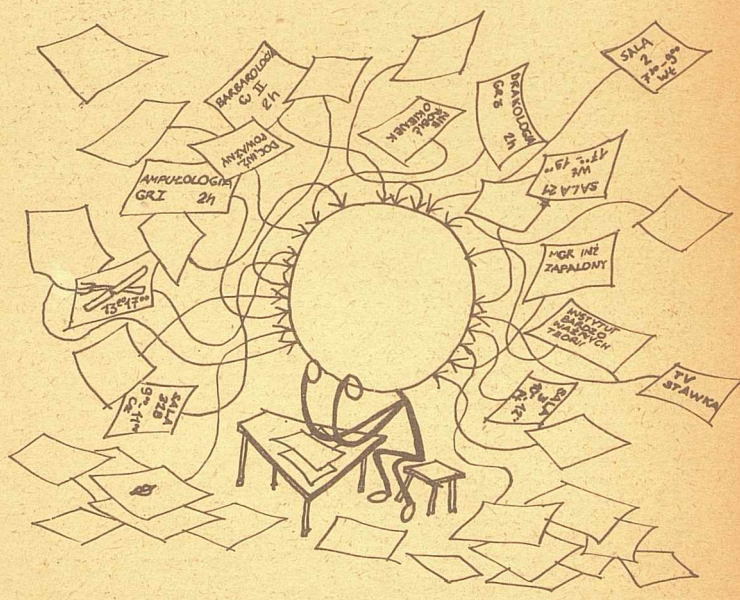

czerstwy chleb

Jak zaplanować zadany program nauczania przy ograniczeniach, które przedstawiliśmy?

Zacznijmy od drastycznego uproszczenia sytuacji,niezbędnego jednak dla rozważenia sprawy jeszcze w tym roku.

Mamy program nauczania dla trzech grup zawierający pięć przedmiotów.

- To jest nasze zadanie:

PROGRAM SEMESTRU		PRZEDMIOTY (ILOŚĆ GODZIN)					
		AMPUŁOLOGIA A	BARBAROLOGIA B	CYKLOPARABOLISTYKA C	DRAKOLOGIA D	EZOTERYKA E	[redacted]
GRUPY STUDENCKIE	I	2	4	6	2	2	16
	II	4	2	0	2	8	16
	III	0	4	4	6	2	16
[redacted]		6	10	10	10	12	48

Mamy dwie sale. Załóżmy tymczasem, że nadają się one dla zjęć ze wszystkich przedmiotów.

Nie zaprzątajmy sobie (na razie) głowy dydaktykami. Załóżmy, że instytuty: Bardzo Ważnych Teorii i Nadzwyczajnych technologii jakoś to załatwią. Pierwszy z nich "obsłuży" ampułologię, drakologię i ezoterykę (A,D i E), drugi - barbarologię i cykloparabolistykę (B i C).

Zajmijmy się czasem: rozporządzamy nim od 7^{30} do 19^{00} w cząstkach dwugodzinnych (a 45 min) z zastrzeżeniem jednak, że każda grupa w godzinach 13^{00}-17^{00} musi mieć dwie godziny wolne. Polecono nam także, że zajęcia każdego dnia nie powinny trwać dłużej niż sześć godzin i nie powinny posiadać "okienek".

Przyjmijmy dalsze uproszczenie, że nasz tydzień ma trzy dni. Czym więc rozporządzamy?

Jest to swoista planistyczna czasoprzestrzeń:

3 dni x 6 dwugodzinnych cząstek = 36 godzin
36 godzin x 2 sale = 72 "salogodziny"

Zwróćmy uwagę: możemy w posiadanych salach przeprowadzić 72 godziny zajęć a potrzebujemy tylko 48 godzin. Bilans nie tylko jest wystarczający ale zawiera poważną, 50 %, rezerwę. Planujmy zatem!

Nie będzie to zresztą /na razie!/ specjalnie trudne a stosunkowo niezły na pierwszy rzut oka wynik zapewniający realizację programu wygląda następująco:

[redacted]

fot.K.Janiszewski

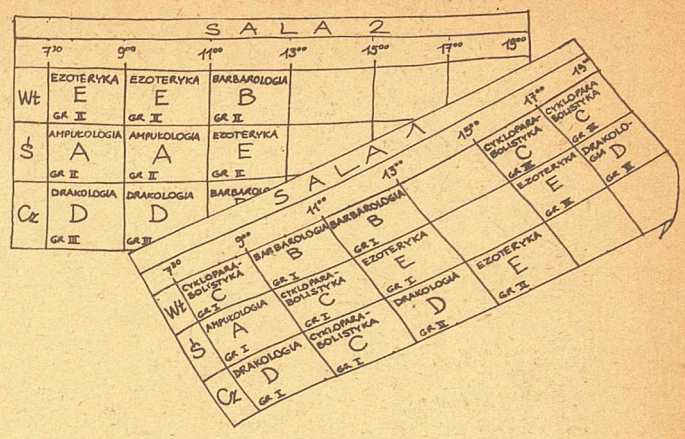

Rozkłady zajęć grup wyglądałyby wtedy tak:

Niedobrze. Dopiero zaczęliśmy a już naruszyliśmy zalecenia. Grupa III ma w czwartek osiem godzin zajęć, zamiast sześciu. Niewiele jednak poradzimy. Obiad jeść muszą. Pozostaje zatem albo dopuścić do okienka (i to w dwóch grupach) przenosząc barbarologię z czwartku 13^{00}-15^{00} na np. środę 11^{00}-13^{00}, albo pozostawić tak jak jest. Przeniesienie pociągnie za sobą konieczność przeniesienia także zajęć Grupy np.I na np.13^{00}-15^{00}. Łatwo się przekonamy, że jakkolwiek byśmy nie przestawiali - lepszych, w tym zakresie, rozwiązań nie uzyskamy. Możemy w tym miejscu westchnąć o pożytku istnienia trzeciej sali, a także z irytacją popatrzeć na naszą "bilansową" - 50 % rezerwę. Możemy tłuc głową w mur, wzruszać ramionami, lub popełnić harakiri, ale najsurowsze zalecenia nie zmienią sytuacji: musimy jedno z nich naruszyć. Odłóżmy dyskusję na ten temat co jest lepsze: okienka czy długie zajęcia - na inną okazję. Dla prostoty pozostawmy plan w istniejącej postaci.

Nie dbaliśmy dotychczas zgoła o dydaktyków. Nadszedł jednak czas na spojrzenie na plan z ich strony.

Posyłamy nasz plan, w odpowiednich częściach, do zainteresowanych instytutów. I czekamy.

Instytuty rozporządzają pięcioma dydaktykami. Instytut Bardzo Ważnych Teorii (trzech) i Instytut Nadzwyczajnych Technologii (dwóch). Zakładamy, że są oni aniołami bez pretensji i nawyków, a nawet zwykłych wymagań i gotowi są podjąć zajęcia w każdym terminie. Oczywiście nawet anioły mają jeszcze ograniczenia kompetencyjne - inaczej mówiąc: nie na wszystkim się znają. W naszym przypadku sytuacja jest następująca:

Docent inż. Poważny może prowadzić wykłady z ampułologii ezoterycznej (A) oraz ćwiczenia z ezoteryki (E), w których może go wyręczyć również dr inż. Błyskotliwy. Mgr inż. Surowy prowadzi ćwiczenia z drakologii *) possybilitatywnej (D). Niestety, jako obiecujący specjalista raczej wąskiej dziedziny, nie może on podjąć innych zajęć.

Technologię barbarologii (B) wykłada dr inż. Nudnawy; może on również prowadzić ćwiczenia z cykloparabolistyki (C) - jako jego pomocnik w ćwiczeniach występuje mgr inż. Zapalony.

Można tu ująć w następujący sposób:

KOMPETENCJE DYDAKTYKÓW	PRZEDMIOTY					
	AMPUŁOLOGIA A	BARBAROLOGIA B	CYKLOPARABOLISTYKA C	DRAKOLOGIA D	EZOTERYKA E	
DOC. INŻ. POWAŻNY	TAK				TAK	INSTYTUT BARDZO WAŻNYCH TEORII
DR INŻ. SUROWY					TAK	
MGR INŻ. BŁYSKOTLIWY				TAK		IBWT
DR INŻ. NUDNAWY		TAK	TAK			INSTYTUT NADZWYCZAJNYCH TECHNOLOGII
MGR INŻ. ZAPALONY			TAK			INT

Pięciu dydaktyków przewidzieliśmy mając na uwadze obciążenie zajęciami średnio nieco poniżej 10 h.Nie jest to zgodne, oczywiście, z normami - ale umożliwi uproszczenie zagadnienia nie naruszając zasadniczego podobieństwa sytuacji.

Jak będą wyglądały rozkłady zajęć nauczających?

Do gryzienia (czerstwego) chleba planisty biorą się teraz mgr inż.Błyskotliwy w IBWT oraz mgr inż.Zapalony w INT. Mają oni mniej elementów do rozważenia ale i warunki ciasne: zajęcia są już rozmieszczone w salach i godzinach w naszej "czasoprzestrzeni".

Parę pokreślonych kartek i wyłania się SYTUACJA:

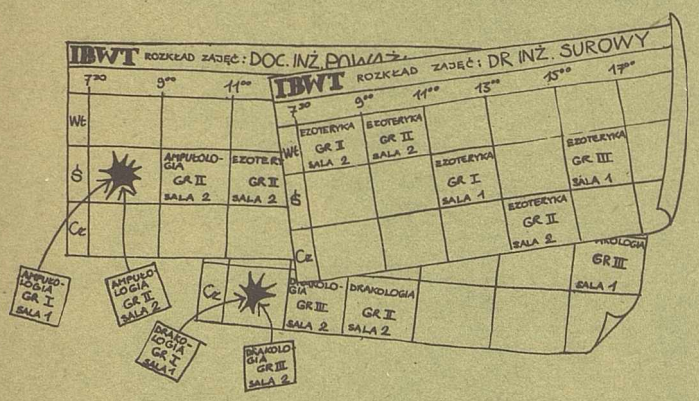

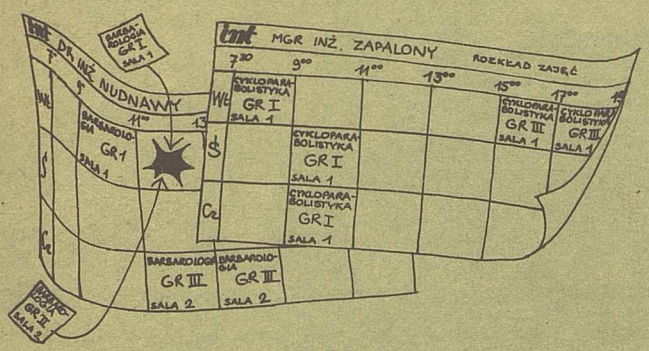

Mgr inż.Błyskotliwy ma kłopoty. Zajęcia, które mogą prowadzić tylko doc.inż.Poważny i on sam, w dwu przypadkach pokrywają się w czasie. Mgr inż.Błyskotliwy bardzo źle myśli w tym momencie o nas i sięga po słuchawkę. Nie on jeden.

Mgr inż.Zapalony ma kłopot podobny; też sięga po słuchawkę.

I my sięgamy po słuchawkę. Bo dzwoni u nas telefon. Słuchamy. Myślimy. Próbujemy.

Mgr inż.Błyskotliwy z IBWT proponuje dwa przesunięcia. Pierwsze łatwo akceptujemy, ale co zrobić z drakologią z czwartku rano?

Błyskotliwy sugeruje przeniesienie na popołudnie. Tak! - Ale to stworzy nam "okienko" w zajęciach dla Grupy I.

Zarysowuje się natomiast możliwość załatwienia sprawy Instytutu Nadzwyczajnych Technologii. Ułatwił to nam Błyskotliwy swą pierwszą propozycją. Sięgamy po słuchawkę i proponujemy mu przeniesienie ezoteryki (środa 11-13) na 7^{30}-9^{00}, czyli na miejsce zwolnione przez ampułologię. Uzgodnione.Stoi. Teraz jeszcze raz słuchawka. Zapalonemu proponujemy przeniesienie barbarologii Grupy I z wtorku 11-13 na środę 11-13 , które to miejsce przed chwilką uwolniliśmy.

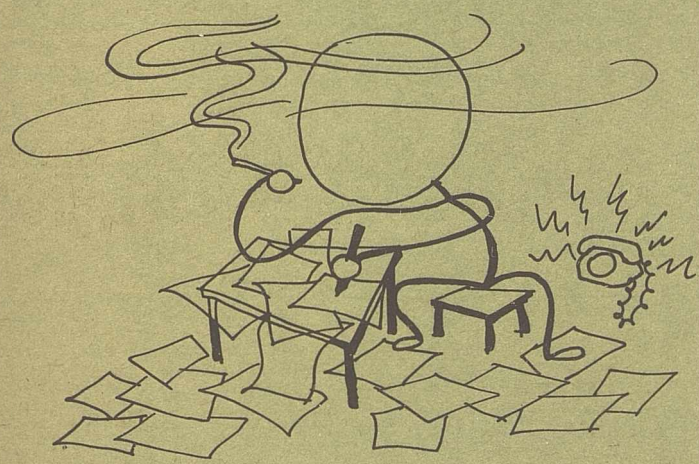

Jesteśmy już bliscy wyplątania się. Jeszcze tylko drakologia Grupy I z czwartku.

Teraz rzecz zależy od licznych czynników.

1° ile telefonów już dziś załatwiliśmy;

2° kiedy wczoraj (dziś) poszliśmy spać;

3° za ile dni (godzin) zaczynają się zajęcia;

4° co usłyszeliśmy rano od Szefa i (lub) żony.

Jeżeli jesteśmy jak bohaterowie z westernu lub z "Czterech pancernych", którzy po dokładnej bijatyce połączonej z czołganiem wstają świeżutcy i odprasowani - to może nam wystarczyć siły, ażeby jeszcze raz sięgnąć po słuchawkę,wykręcić numer INT i zniósłszy kilka impertynencji Zapalonego,wymóc zgodę na przeniesienie cykloparabolistyki z czwartku 9^{00}-11^{00} na 17^{00}-19^{00}, przez co Grupie I zlikwidujemy "okienko".

Jeżeli jest przeciwnie ... Cóż. Dzwoni natrętnie Błyskotliwy i sarkastycznie pyta, czy doba starczyła nam na rozważenie jego propozycji. Jest ona bądź co bądź realna.Akceptujemy.

prawie nieskończoność i zero

Na początku rozporządzaliśmy 72 "salogodzinami" naszej czasoprzestrzeni. Potrzebowaliśmy z nich zająć 48.Stwarza to: 612345000000000000000000000000000000000000000000000000000000000000000000000000000000000000000000000000000000000000możliwości lokalizacji.

Już pierwsza przymiarka sprowadziła te możliwości do zera, bo nie mogliśmy znaleźć rozwiązania, które nie naruszałoby ograniczeń. Gdy jednak nieco ustąpiliśmy ze swej pryncypialności - ilość możliwości znów wzrosła osiągając rząd 10^{60}.

Błyskotliwy w czasie ostatniej rozmowy z trującą uprzejmością zapytał: dlaczego właściwie od początku nie podaliśmy rozwiązania, które on tak łatwo nam podsunął. Byłoby dość niezręcznie w sytuacji tej rozmowy wspomnieć o przeglądaniu 10^{60} wariantów. I czas był nie po temu. A poza tym - czy naprawdę zaczynając planowanie wiedzieliśmy, ile i jakich ograniczeń tworzy układ jeszcze niesprzeczny?

Wszystko, co mówiliśmy wyżej, to zresztą tylko bajka. Bo naprawdę mamy nie trzy grupy lecz około 25-30 grup. I nie trzy dni lecz sześć i nie pięć przedmiotów lecz czterdzieści. Nie każda sala nadaje się do każdych zajęć. I nie mamy wyłącznie aniołów jako dydaktyków lecz bądź co bądź,przynajmniej w pewnym sensie i procencie - zwykłych ludzi.Ile to da w efekcie np. telefonów dla uzgodnień - proszę PT Czytelnika ustalić we własnym zakresie.

Oscylacja pomiędzy kosmicznymi ilościami możliwości i zerem - to rzecz ciężka i niełatwa. Nie zawsze też się udaje.

Jest tu na szczęście i miejsce na uśmiech optymizmu.Planujemy dla ludzi. Jakie to krzepiące. Ilu kolegów asystentów spotyka się (wraz z przynależnymi im grupami) pod drzwiami jednej sali. Spotykają się studenci a nawet studenci ze studentkami - czasem nawet różnych wydziałów. Ile tu możliwości porozumień, poznania, małych i dużych przyjemności.PLAN DOSKONAŁY wykluczyłby je nielitościwie. A tak zaczyna się znane studentom, naukowcom i kierowcom DOCIERANIE - stanowiące trzeci stopień iteracyjny systemu planistycznego.

kreatorzy

Oczywiście nie dotyczy to dziekanatu X lub Y oraz instytutu Z lub S. Od razu chcemy się zastrzec, że nie mamy na myśli tych właśnie godnych pochwały komórek, gdzie nominacja na planistę jest niełatwym do osiągnięcia ukoronowaniem trudnego etapu kariery i w hierarchii ważności idzie zaraz po nagrodzie I Stopnia Ministra i Krzyżu Zasługi. Gdzie również można dostąpić tego wyróżnienia - tylko po przeszkoleniu w Centralnym Ośrodku Doskonalenia Kadr Kierowniczych i rocznej praktyce w przemyśle. Oczywiście nie o te wydziały nam chodzi. Mamy na myśli prawie nieistniejące, nieco mniej uznania godne miejsca, gdzie nie to, że planowaniem parają się ludzie za karę, ale bądź co bądź - robią to w kolejności, której charakter zbliża się nieco do zagadnienia wynoszenia śmieci ze wspólnego pokoju.

Naturalne uzdolnienia planistyczne muszą być zresztą w naszym kraju zjawiskiem pospolitym, skoro uważa się, że każdy asystent (no, czasem i adiunkt) otrzymać może w tym zakresie zadanie i faktem jest, że plan powstaje a Szkoła nawet według tegoż planu działa.

Dziewiczy adept planowania otrzymuje do ręki potężne środki; jest to: nieco papieru, ołówki, nożyczki, kalka i szpilki. Zaczym zabiera się radośnie do dzieła. Już w 3/4 procesu planowania zaczynają mu świtać pewne ogólniejsze zależności. Kiedy kończy się serią uzgodnień i poprawek, zaczyna mieć pewne pojęcie o tym, jak powinien był zabrać się

W SOBOTĘ POPOŁUDNIU ...

Każdy student ma obowiązek uczęszczania na zajęcia objęte programem studiów. Z tym zgodzą się wszyscy. Ale jeżeli prowadzący zajęcia zechce wyjść poza ramy czasowe tych zajęć i urządzą dodatkowe kolokwia? W naszej Uczelni studenci mają wyjątkowo "rozbudowaną" siatkę zajęć i uważam, że robienie takich dodatkowych, pozazajęciowych kolokwiów, powinno być zabronione. A przynajmniej powinno to mieć miejsce tylko w wyjątkowych przypadkach, a nie nagminnie, jak to ma miejsce na wszystkich prawie wydziałach. Tym bardziej, że dla kolokwiów tych upodobano sobie szczególnie popołudnia sobotnie. Czasami "z przyzwyczajenia", a czasem dlatego, iż plan ułożony jest tak, że inaczej po prostu nie można. Po sześciu dniach zajęć trzeba przyjść i pisać kolokwium "na czas", do czego potrzebny jest przecież świeży i wypoczęty umysł. Prowadzi to często do "zarywania" zajęć w ciągu tygodnia. Z drugiej strony na kolokwia te przyjść muszą również asystenci. Ich czas też jest przecież cenny.

Może by więc tak dla obopólnego dobra, z wzajemnego szacunku czasu (i nerwów), zmienić panujące zwyczaje?

Z.S.

do rzeczy. Ale nie zabierze się. Ma w każdym razie nadzieję, że w międzyczasie zrobi doktorat lub nawet habilitację, przyjdą młodsi i będą zgłębiali zagadnienie od początku. Jak sądzi się w pewnych kołach, zbliżonych do starszych asystentów, planowanie - to absorbująca, pracochłonna i na koniec nerwowa praca, stanowiąca obciążenie tego rzędu, że powtórzona nawet tylko raz na rok praktycznie wyłączyłaby pracownika z efektywnych prac naukowych i dydaktycznych, a w wyniku i z pracy w Szkole w ogóle.

wokół planologicznego pępka

Można przypuścić, że istnieją w zasadzie trzy możliwości.

Pierwsza ma niebywałe zalety. Nie wymaga we wprowadzeniu i utrzymaniu żadnego prawie wysiłku. Przynajmniej koncepcyjnego. Otóż wystarczy zostawić sprawy dotychczasowemu biegowi. Niewielkie wady tego rozwiązania, obracające się wokół jego niskiej efektywności i zupełnej sztywności - nie stoją w żadnej proporcji do zalet, które zawsze dodatkowo możemy wzmocnić stwierdzeniem, że przy tym systemie wykształcono 236.284 inżynierów a wśród nich są obecni dyrektorzy Instytutów: Bardzo Ważnych Teorii i Nadzwyczajnych Technologii, główny konstruktor Sztandarowego Zakładu Województwa, a nawet - co najmniej czterej wiceministrowie. No i co, czy są to, jak chcecie twierdzić, źli fachowcy?

Wobec tego, dla samego zadośćuczynienia metodzie naukowej, rozważmy także konkurencyjne możliwości - ażeby tym jaśniej uwypuklić zalety metody wybranej.

Metodę nr 2 można określić jako spontaniczną. Mimo nieco ryzykownej technologii ma niebagatelne zalety, cechujące wszystkie procesy naturalne (patrz: Darwin - o doborze naturalnym). Szkicowo może ona wyglądać następująco: o oznaczonej godzinie pierwszego dnia zajęć na wynajętym w tym celu placu Grunwaldzkim zbierają się pod wodzą starostów grupy studenckie i dydaktycy. Każdy starosta dzierży tablicę z nazwą grupy; każdy pracownik - tablicę ze stosowną nazwą przedmiotu. Ponadto każdy starosta ma listę potrzebnych w danym semestrze przedmiotów.

Na sygnał woźnego uszykowane grupy studenckie ze starostami na czele rzucają się na grupę dydaktyków i porywają tylu, ilu może wypełnić program danego dnia zajęć, a następnie wraz z nimi podążają biegiem (dla starszych wiekiem pedagogów odpowiednie będą lektyki) do gmachów Szkoły celem zajęcia sal.

Po uciszeniu się pierwszego tumultu, Główny Planista z Sekretarką przechodzą po salach i notują, kto i gdzie przebywa.

Rzecz powtarzamy codziennie przez tydzień.

Oczywiście ostatniego dnia najmniej sprawne grupy studenckie z rezygnacją i bez pośpiechu ruszą po najmniej atrakcyjnych pedagogów. Jest to i zaleta i wada metody. Wada oczywista, A zaleta: bez trudu poznajemy listę kolejności tak dydaktyków jak i grup studenckich uporządkowaną według popularności. Nakłady na planowanie jako takie: minimalne. Fakt, że zajęcia w pierwszym tygodniu nie będą pozbawione pewnej nerwowości, naturalnej w sportowej atmosferze zawodów, nie wydaje się większym obciążeniem niż normalne "docieranie".

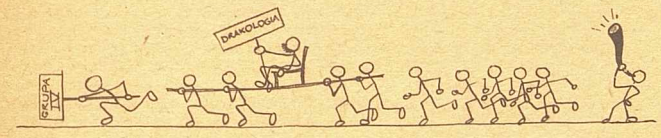

Dla porządku omówimy również mało pociągającą metodę nr 3. Niezmierną wadą tej metody jest fakt, że nie tylko że jej jeszcze nie ma, ale i to, że jest sucha, nudna, nieatrakcyjna - zupełnie pozbawiona atmosfery plebejskiego święta (jak nr 2) - a w dodatku kto wie, czy nie będzie mogła a nawet wymagała użycia matematycznej maszyny *) cyfrowej. Co gorsza - musiałaby być zaprojektowana w szczegółach a następnie pedantycznie i dokładnie stosowana.

Nudna metoda nr 3 opiera się na zastosowaniu jednego tylko etapu planowania obejmującego od razu studentów, pracowników, ich przedmioty i sale (czym nie różni się od nr 2 - ale różni się od nr 1 przewidującej trzy etapy.

Dane zawierające informacje z grubsza biorąc według listy wymienionej na początku z uzupełnieniem zabezpieczających możliwość spotkania się w jednym czasie 1-2 razy w tygodniu pracowników każdego instytutu i zakładów, organów kolegialnych szkoły i instytutów oraz organizacji działających w Szkole - ale z wyłączeniem grubszych dziwactw prywatnych, podlegałaby selekcji i porównaniu. Następnie według odpowiednio opracowanego algorytmu - ręcznie lub maszynowo produkowano by warianty planu - aż do osiągnięcia zadawalającego rozwiązania. Wyniki w postaci rozkładów zajęć pracowników, studentów, terminów zebrań i "obciążenia" sal, wyprodukowane równocześnie, miałyby moc prawa obowiązującego.

Rzecznicy metody trzeciej uważają, że jeżeli rozwiązania byłyby dobre, prawo to można by realnie wyegzekwować.

Niestety, jak można się spodziewać, metoda trzecia nie jest zajęciem najodpowiedniejszym dla amatorów. Mówiąc jaśniej: należy przypuszczać, że trzeba by powołać zawodową komórkę planowania, być może aż centralną - dla której planowanie zajęć i doskonalenie tego planowania byłoby głównym zajęciem. Zapewne można się tu spodziewać lepszego opanowania metody dzięki specjalizacji. Czyż może to jednak zrównoważyć poważną lukę w systemie wychowania młodej kadry naukowej?

fot. K. Janiszewski

Próżni ziejącej zaraz po szczeblu sporządzania katalogów i inwentaryzacji nie można załatać gołosłownymi deklaracjami o technokratycznie ujętym wzroście sprawności systemu planowania.

O wadach metody mówiliśmy. Dla porządku pomówimy także o wątpliwych zaletach przedkładanych przez zwolenników (nielicznych). Zaliczają tu oni jednostopniowość i kompleksowość metody, jej szybkość, małe ryzyko błędu. Pewną dodatkową zaletą miałaby być elastyczność systemu, możliwość przejścia z planu na cały semestr na krótsze odcinki czasowe. Wiadomo, jak twierdzą, że pierwsze ćwiczenia na początku wprowadzania nowego przedmiotu są czasem - oględnie biorąc - słabo wykorzystane; po prostu nie ma jeszcze o czym mówić, zanim wykład nie stworzy dostatecznej bazy. To samo dotyczy niekiedy laboratoriów. Nie wszystkie też przedmioty wymagają czasu wyrażanego w okrągłych półroczach; półrocza są elementem zbyt ciężkim i nieruchawym. Powstaje szansa koncentracji upiornie rozwleczonych ćwiczeń "co dwa tygodnie" z sakramentalnym problemem: "który to tydzień jest teraz: parzysty?"

Niektórzy z metodą nr 3 łączą nieśmiałe marzenie. Że może przy tej okazji studenci a także pracownicy otrzymają do ręki powielone, dotyczące ich osobiście rozkłady zajęć i nie będą ślęczeli przed ściennymi gablotami w słabo oświetlonych ponurych kątach korytarzy.

- Z czego to widać jasno jak wielkie są wady propozycji, która stwarza inklinacje do takich nieodpowiedzialnych myśli.

ciachnięcie czyli konkluzja

Jak w sposób oczywisty i bezstronny dowiedliśmy opierając się na rozległym materiale empirycznym i subtelnych badaniach modelowych tudzież rozważeniu wariantów, żadna z dostępnych, na istniejącym poziomie rozwoju sił wytwórczych i świadomości, metod planowania zajęć nie może poważnie zagrozić metodzie nr 1. Kłopotliwa w stosowaniu metoda nr 2 i niehumanistyczna nr 3 nie są wystarczająco konkurencyjnymi. W związku z tym możemy spokojnie oczekiwać długich lat, które przeżyjemy w symbiozie **) z doskonałą trójstopniową metodą nr 1.

antoni pawłęga

*) Dracus - smok.

**) Jest zdaje się parę maszyn cyfrowych w Politechnice Wrocławskiej.

***) Dopuszczalna także anabioza.

- Zapraszamy codziennie na kawę "Pod Wikliny"

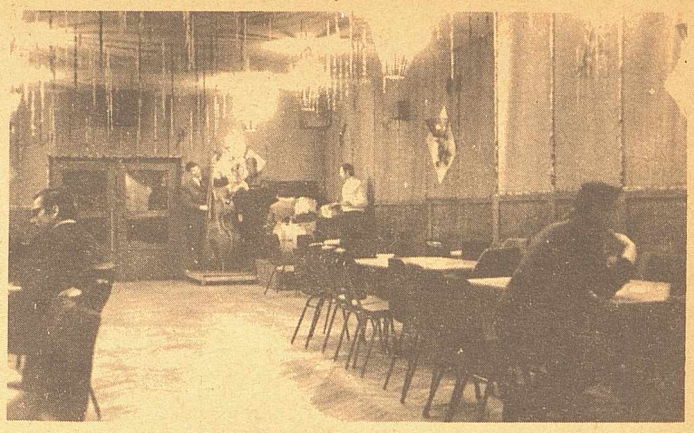

A nie mówiłem, że w T-4 nie mają czasu na zabawę!?

SPRINTEM PO KLUBACH

To prawdziwa ironia losu - student musi godzić ze sobą dwie rzeczy absolutnie wykluczające się: zimową sesję egzaminacyjną i karnawał.

Jak więc sobie radzi?

Bawi się mimo wszystko, czy tylko wkuwa po nocach? Zaintrygowani tym pytaniem wybraliśmy się na mały rajd po klubach studenckich Politechniki.

— Pewnie znajdziemy kluby zamknięte "na amen".

— Założę się, że będą tłumy...!

Zobaczymy. Zbliża się godzina 19^{15}, jest 11-ty dzień stycznia. Startujemy z kwadransem.

T-4

— A jednak się bawią - wykrzykuje Andrzej wpadając do klubu i rozglądając się za ładną buzią do fotografii.

Przed wejściem tłumek; sala powoli się zapełnia. Jazzuje zespół Macieja Wójcika - według stawek ZSP: 17,50 zł za godzinę.

Rozglądamy się za interesującymi rozmówczyniami, łowimy co celniejsze wypowiedzi.

— Twój ideał chłopca?

— Nie znoszę "dzikich romantyków": ściskanie ręki, głębokie spojrzenia, postawa Wallenroda (?). Przy takim można zachorować.

— Czym się zwykle kończy dla Ciebie ubaw?

Oj, delikatne pytanie ...

— Często randka, czasem pokój na górze ...

KURANT

Klub w akademiku T-3, albo "Kurant" w "Strasznym Dworze". Prawidłowo. Na schodach spotykamy zrezygnowaną dziewczynę. Sympatyczna.

— Dlaczego się pani nie bawi?

— Nie ma już biletów!

— Prosimy z nami.

Razem z nią przedzieramy się przez stanowiska cerberów, pokazując tzw. "legitymacje prasowe". Jakie to proste.

Ładna dekoracja, dyskretne oświetlenie, tłoczno. "Bigbici" zespół Romualda Kriegera, którego prosimy o parę słów:

— Chciałbym dobrze napisać poniedziałkowe kolokwium.

No proszę, jednak się uczą!

Nasz fotoreporter ma spore trudności ze zrobieniem zdjęcia ładnej dziewczynie.

— ON ... zrobi mi awanturę.

ON: — Moje serce i jej - to jedno.

Rozumiemy, przepraszamy.

Wywiad z kierownikiem klubu:

— Mamy Studio Piosenki...

(Jak wiadomo - na ostatnich eliminacjach Festiwalu Piosenki Studenckiej Politechnika zaprezentowała aż ... 7 utworów; było sześciu wykonawców, w tym dwoje spoza Uczelni...).

— Organizujemy wystawy, spotkania, dyskusje...

— Nawiązujecie kontakty, prawda, itd... itd.

Znamy, dziękujemy ...

Żegnamy się ze znajomą ze schodów.

— Co pani zrobi po wyjściu stąd?

— Do łóżeczka ... do domu .

I długie, powłóczyste spojrzenie.

FOSIK

Po drodze do "Fosika" wpadamy "na sekundę" do "Dwudziestolatki". "Pod Pantoflem" - wcale zachęcająca nazwa; może dlatego tak mało chłopców?

— Co pani sądzi o chłopcach z "Polibudy"?

— Zbyt nieśmiali, mają kompleks Politechniki (sic).

Panienki z filozofii klasycznej odpowiadają zupełnie nieklasycznie:

— Co za idiotyczne pytania!

— Takich bzdur jeszcze nie słyszałyśmy.

— Gdzie się pan uchował - taki głupkowaty?

Taksówką do "Fosika" na Podwale; 12,50 zł. Gra zespół Włodzimierza Wińskiego. Najbliższe plany?

— Za rok w "Jazzie nad Odrą" (?).

— Co jeszcze?

— Podwyższyć i zróżnicować stawki ZSP. Jak można nas porównywać w "cenie" w takim N (nazwę zespołu N zachowujemy do wiadomości redakcji, aby nie wywoływać skandalu...).

Szafa grająca, bezalkoholowo, jak wszędzie, spokojnie. "Kontramarek" chyba nie było.

— Dlaczego wybrałaś ten klub?

— W "Pałacyku" nobliwi, starsi panowie mogą zanudzić na śmierć; tu miłe towarzystwo, dobry zespół.

— Twój ideał?

— Wysoki, inteligentny, umie być sobą, władczy, zdobywczy...

— Co lubisz tańczyć?

— Big-bit. Jak mam nastrój, lubię się poprzytulać.

ZNICZ

Tramwajem do "Olimpu". Późno już a ubawy tylko do 23^{00}.

Bufecik; zaopatrzenie jak u Wokulskiego. Czego tam nie ma: pęki sznurówek, pędzle do golenia, cukierki, "Ixi", paski do zegarków (ciekawe, kto je kupuje?), sok pomidorowy, w gablotce z książkami - "Problemy Postępu Technicznego", "Wspomnienia niebieskiego mundurka" (tak, tak, trzeba nadrobić braki w lekturze).

Muzyka z płytoteki radiowęzła.

— Nie ma zespołu?

— Były "Dogmaty" ale "wybyły" po zdobyciu nagrody "Pałacyku".

— "Woda sodowa"?

Świeczki, nastrojowo, leci "Melancholia". Mówią nam o zawiązaniu kabaretu, raczą próbką talentu:

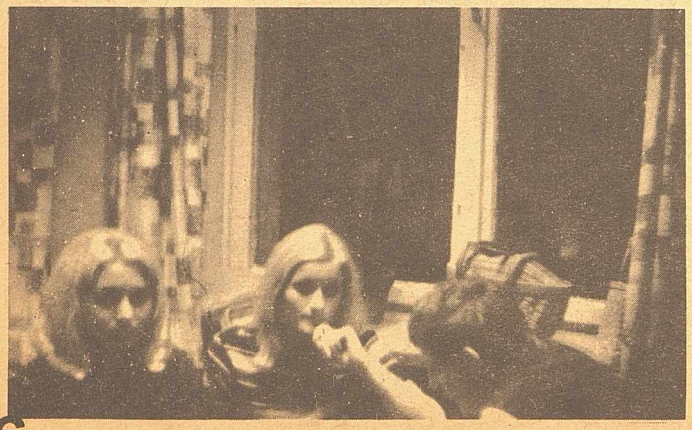

- Co panie sądzą o chłopcach z Politechniki?

"Pod Wiklinami" panował nastrój zdecydowanie intymny...

"Pod Pantoflem" niewielu było "pantoflarzy".

fot. A. Milli

"Wszystkie wróble we Wrocławiu się zwiedziały,
Jak one tylko to potrafią,
Że kabaret jakiś powstał mały,
Tak ćwierkając ogłaszają gapiom.

— To wcale nie kabaret, to zalążek kabaretu! -
Oburzył się jeden z członków tegoż,
Zgarniając je wszystkie z parapetu,
Gdzie sobie ćwierkały i ryż dziobały"

— Interesujące, nieprawdaż?
W kącie przy stoliku notuje coś samotna panienka.
— Konkurencja?
— Nie przyszłam tu tańczyć; lubię po prostu patrzeć, jak inni się bawią.

TELEMIK

Nie tak dawno obchodził 10-lecie. ZSP - jak wiadomo - mecenas hojny - obdarzyło klub "trzema tysiącami talarów polskimi złotówkami zwanych".

Wnętrze coraz ciekawsze, nabiera stylu. Podobały nam się duże, drewniane, masywne stoły. I beczki po piwie.

— Miło poszaleć, kiedy czas po temu" - czytamy na stylizowanym "kilimie".

Pijemy grzańca z korzeniami.

Nareszcie coś konkretnego.

Miły nastrój. Nie możemy tylko zrozumieć, do czego mają służyć "ozdoby" przed wejściem do akademika w formie postumentów z pnia drzewa.

— Czyżby próba zbliżenia "naszej architektury" do architektury organicznej?

— I to elektronicy!

— Patrzcie, patrzcie!

POD WIKLINAMI

W "Sezamie" bawiono się do północy. Wikliny u sufitu, kute lampy (ładne), intymne oświetlenie (czasem bywało zupełnie ciemno) dobrze zaopatrzony bufet, wygodne stoliki. Ale drzwi wejściowe ciasne i niewygodne.

To jeden z najmłodszych klubów Politechniki; więc jednak znalazły się pieniądze na urządzenie ładnego lokalu. W ustronnym zakątku jakaś para bezceremonialnie się całuje.

Rozmawiamy z kierownikiem:

— Komplet na ubawach, ale w tygodniu pustki.

Anonsujemy: nowocześnie urządzony, czynny codziennie (z wyjątkiem poniedziałków) od 16^{00}-22^{00} klub "Pod Wiklinami" zaprasza na kawę. Pani w bufecie pracuje na procencie. Przyjdźcie.

— Nie widać w klubie architektów, choć mieszkają tuż, tuż. Zapowiadali się z programem, ale jakoś nic nie ma...

— Pewnie "lecą" projekty po nocach!

Mija północ, nareszcie, uff!

W pięciogodzinnym rajdzie po klubach Politechniki startowali:
ANDRZEJ GABOR - pilot
ANDRZEJ MILLI - fotoreporter
TADEUSZ M. KRAWCZYK - kierowca

GWAREK

PS. Mieszkańców DS "Atol" i bywalców klubu "Gwarek" przepraszamy za pominięcie, ale nasz kierowca po grzańcu w "Telemiku" zmylił trasę.

- Wysoki, inteligentny, władczy, potrafi być sobą...

Komplet, ale tylko do 23^{00}.../"Fosik"/

W "Fosiku"-miły nastrój, dobry zespół...

W KRZYWYM ZWIERCIADLE

Motto: Siedzenie na laurach
jest największą torturą.

NOWA FORMA WYRAZU

Literatura kamufluje się coraz bardziej. Każdy autor stara się w miarę możliwości ukryć tekst właściwy w podtekstach. Już Mickiewicz pisał "a imię mu 44". Dokładnie co oznacza ten numer - do dziś nie wiadomo, choć sporo ludzi zrobiło na tym olbrzymie pieniądze. Umieszczanie w utworach literackich skomplikowanych form stało się rzeczą tak powszechną, że nikt już nie jest w stanie roztrząsać sensu metafor, porównań, aluzji ...

Tym bardziej pochwalić trzeba, ba - wynieść na piedestał, nowe formy literackie stosowane przez jednego z asystentów Wydziału Mechanicznego. Otóż ten nowatorski prąd polega na jasnym zawieraniu podtekstów w nawiasach - jasno i wyraźnie; jak to mówi ludowe przysłowie: "kawę na ławę". Oto przykład jednego z nowatorskich dzieł przedstawiciela polskiej awangardy literackiej (dzieło umieszczone było w gablotce w Gmachu Hutniczym):

"Na następne ćwiczenia przygotować mechanikę
cieczy i gazów (odpytam").

Właśnie ta prostota i oczywista forma zadziwiła wprost świat literacki; "odpytam", któż mógłby to ująć prościej i zwięźlej. Dalej następują stopnie z kolokwium, przy jednych stopnie pozytywne, przy innych mniej pozytywne. Przeciętnego czytelnika z niepełnym wyższym wykształceniem zaabsorbowałyby z pewnością litery N umieszczone przy niektórych nazwiskach, gdyby nie rozsadzające wprost wyjaśnienie autora:

"Osoby nieobecne na kolokwium podane zostaną
do dziekanatu z nikłą szansą zaliczenia
(praktycznie ćwiczenia będą niezaliczone)"

I znów uderza rozbrajająca wprost prostota i zwięzłość zdania w nawiasie.

Apeluję zatem do wszystkich twórców naszej rodzimej literatury, by nie tracili czasu na wymyślanie zmyślnych alegorii, tylko przeszli się kilka razy do Gmachu Hutniczego, by poczytać ogłoszenia w gablotce, gdzie po raz pierwszy forma uwypukla treść.

WIADOMOŚCI PODSŁUCHANE JEDNYM UCHEM

Według informacji czynników kompetentnych ujęto w naszej Uczelni groźną szajkę waluciarzy, którzy w sobie tylko wiadomy sposób przerabiali monety pięciozłotowe na pięćdziesięciogroszówki do automatów.

Zrozumiałą sensację wzbudziła niewiarygodna wprost wiadomość krążąca już od kilku dni po Uczelni. Otóż istnieje podobno na Politechnice Wrocławskiej, a dokładniej w piwnicy gmachu Inżynierii Sanitarnej zegar, który wskazuje dokładnie czas środkowoeuropejski. Przyczyny tego niespotykanego zjawiska bada specjalna komisja naukowa.

Prognoza pogody na miesiąc luty:
Jak podaje PIHM, pogoda w bieżącym miesiącu będzie fatalna. Zachmurzenie na czołach pracowników naukowych wzrośnie do maksimum. Wzrośnie również natężenie gromów i piorunów ciskanych w boguduchawinnych studentów. W czwartej dekadzie przewidywane są silne wiatry i nawałnice, które mogą wywiać niektórych studentów z murów naszej uczelni. W tym okresie wystąpi również nasilenie opadów łez i ...lotów. W pierwszej dekadzie marca przewiduje się stopniowe wypogodzenie.

OGŁOSZENIA RACZEJ DROBNE

Dwa tygodnie temu wyszedł i dotychczas nie powrócił nasz kolega z pokoju. Oby tak dalej.

Współlokatorzy

Zgubiłem portfel z pieniędzmi. Co to, nie wolno.

Zasobny

PRZETARGI

Student Józef Bonuszak ogłasza przetarg nieograniczony na trzy arkusze kalki milimetrowej. Wadium w wysokości 10 % wartości towaru wpłacać należy do dwudziestego lutego. Organizator zastrzega sobie prawo odwołania przetargu bez podania przyczyn.

TADEUSZ DROZDA

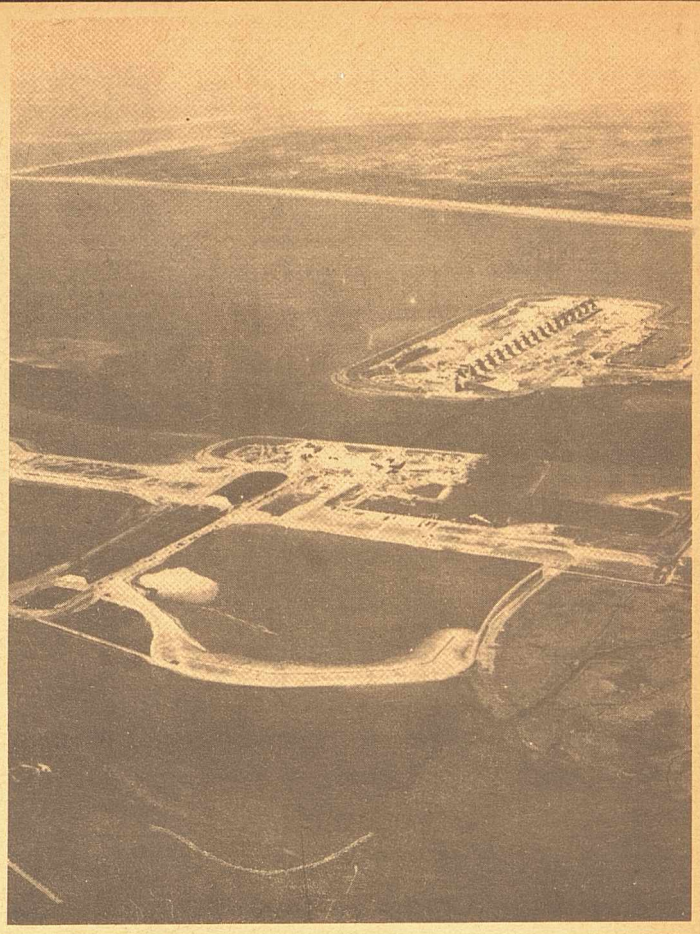

Jedna z osób siedząca przy stoliku w Klubie ZOZ-u i słuchająca przypadkowo moich wynurzeń o pobycie na stypendium w Holandii podsumowała krótko: Gotowej pracy habilitacyjnej nie przywiozłeś, samochodu również, więc co właściwie ci ten wyjazd dał? Wrażenia? - No, oczywiście - pomyślałem - odwaliłem co prawda "roboty" naukowej więcej, niż to, co zawarte jest w 40-tu prawie publikacjach, ale skończoną ta praca habilitacyjna nie jest. Samochodu też nie przywiozłem. Koledzy z Wydziału, władze uczelniane, towarzysze partyjni niemal o mnie zapomnieli, profesor miał kłopoty z obsadzeniem dydaktyki, czyżby więc ... wrażenia?

Wrażenia, może dużo wrażeń - powiedziałem głośno.

Na moje nieszczęście podchwyciła to koleżanka, jak się za chwilę okazało - współpracowniczka "Sigmy", a że prócz wielu zalet ma również tę, iż potrafi namawiać, ja zaś nie umiem odmawiać - spróbuję podzielić się tym, czego nie zawierają oficjalne sprawozdania, które przedstawiłem w gronie współpracowników w instytucie, wydziale i władzom.

Po wystartowaniu samolotu z berlińskiego lotniska, udającego się do Amsterdamu, zacząłem coraz częściej spoglądać przez nieduże okienko w dół, aby jak najszybciej znaleźć kontury kraju, w którym miałem przebywać. W pewnym momencie (lot z Warszawy do Amsterdamu trwa około 2 godzin) zauważyłem zmianę w krajobrazie; liczne pasemka rzek i regulowanych kanałów, rzadko występujące kępki lasów potwierdziły, że zbliżamy się do konstytucyjnej stolicy Królestwa Holandii.

Holandię o powierzchni nie wiele większej niż obszar województwa warszawskiego (133,6 tys. km^2) zamieszkuje 12 mln. ludności, co daje największe zagęszczenie na km^2. Zauważone cieki - to konieczność regulowania warunków wodnych obszaru delty rzek Renu i Mozy oraz na południu Skaldy, warunków, pozwalających użytkować tereny, z których 38 % leży poniżej poziomu morza. Na obszarach tych powstały liczne poldery, planuje się osuszenie dalszych połaci. Efekty gospodarności i pracowitości Holendrów - to największy port świata Rotterdam, świetnie rozbudowany przemysł elektroniczny (Philips), petrochemiczny (Shell) i ogólnie znany przemysł spożywczy a zwłaszcza mleczarski (słynne sery). Wszystko to razem spowodowało, że krajobraz Holandii jest zmieniony przez człowieka w stopniu wyższym niż w jakimkolwiek innym kraju.

Jaka jest rzeczywistość? Jak te sucho wyliczane przez encyklopedie i ludzi dane o Holandii i Holendrach będę odczytywał sam, osobiście, pracując i przebywając tam przez parę miesięcy?

Przede wszystkim nurtowało mnie zagadnienie, w jaki sposób kraj, nie mający prawie bogactw naturalnych (nie licząc ostatnio wykrytych złóż gazu ziemnego na przymorzu), usytuowany na terenach błotnistych, walczący z wdzierającą się wodą, egzystuje, i to dobrze (Holendrzy należą do bardziej dostatnio żyjących w Europie).

Przede wszystkim - szalone tradycje organizacyjne. Przejawy przemyślanej organizacji życia gospodarczego, społecznego i tego osobistego, spotykałem na codzień. Tradycja ta zaczyna się chyba od walki z morzem, co wymaga nie tylko nabycia sprawności technicznej, ale i organizacyjnej.

GDZIE TULI PANY

Przecież krewniak króla Poniatowskiego, Ignacy, desygnowany na tego, który miał ratować ekonomikę upadającej Rzeczypospolitej, "terminował" w amsterdamskich manufakturach (biografia T.Brezy).

Rotterdam - największy obecnie port świata pod względem przeładunków - to dziecko byłej świetności morskiej i nabytej umiejętności handlowania. Rotterdam - to również świadectwo zniszczeń z okresu ostatniej wojny. Zniszczone centrum miasta, zilustrowane pięknym pomnikiem Zatkina, dało możliwość zapoczątkowania nowego okresu budownictwa. Trudne warunki gruntowo-wodne zadecydowały o tym, że typową zabudowę Holandii stanowi zabudowa parterowa. W większej części kraju już jedno- lub dwukondygnacyjne budynki wymagają posadowienia na palach. Zadaniem ich jest przekazanie obciążenia na warstwy gruntu nośnego, zalegające pod utworami błotnistymi często na głębokości 20-40 m. Trudności związane ze słabym podłożem gruntowym są tak duże, że wiele nawierzchni drogowych opiera się na palach.

Najbardziej imponujące przedsięwzięcie budowlane, to tzw. Delta Plan. W zakres ogromnego programu robót budowlanych i inżynierii lądowej zaplanowanego na lata 1953-1978 jest zamknięcie estuariów rzek Mozy i Renu grodzami ziemnymi oraz wykonanie jazu o długości prawie 1,5 km w Haringvliet. Jaz ten ma na celu uregulowanie poziomu wód wypływających ze wspomnianych rzek. Uniemożliwić ma to infiltrację słonej wody morskiej w głąb kraju i zabezpieczyć przed powodziami. Okazuje się, że ogromnie zanieczyszczone wody Mozy i Renu stanowią jeszcze dużą wartość jako surowiec wody pitnej i użyźniającej tereny rolnicze. Nakłady inwestycyjne stanowią miliony guldenów. Z tą realizacją związane jest wykonanie wielu obiektów towarzyszących, jak np. najdłuższy, bo 5,5 km liczący, most w Europie.

Zwiedzając miejsca robót i będąc maksymalnie pod wrażeniem przedsięwzięcia, spytałem:

— Czy to się opłaca?

— Absolutnie tak - padła odpowiedź miłych gospodarzy.

— Budować będziemy 25 lat, a amortyzuje się to nam w ciągu 50 lat.

Rzeczywiście. Koszt otrzymania słodkiej wody z rzek stanowiących, co prawda, jak mawiają Holendrzy, ścieki Europy, jest ośmiokrotnie tańszy od technologii otrzymania jej z wody morskiej. Szkody zaś wyrządzone przez ostatnią powódź w 1953r. sięgały prawie 30% kosztów planowanych inwestycji. Dalsze zyski - to usprawnienie komunikacji, aktywizacja przemysłu terenów leżących w obrębie delty itp.

Przedsięwzięcia budowlane są tym kosztowniejsze, że Holandia pozbawiona jest, prócz cegły, surowców budowlanych, które po prostu musi importować. Widziałem również polski statek z ładunkiem faszyny (tak, zwykłej faszyny), używanej tu do umacniania ziemnych gródź i nabrzeży gruntowych.

Mimo tych kłopotów architektura, a dokładnie - wygląd zewnętrzny budynków, jest bardzo wzbogacony w elementy plastyczne i kolorystyczne. Holendrzy niesłychanie dużą wagę przywiązują do kolorów. Wynika to z konieczności upiększania bardzo równinnego kraju z wszystkimi cechami krajów nadmorskich (liczne dni pochmurne, ciągłe mgły, wiatry itd.).

Stąd chyba bierze się ogromny i już wyspecjalizowany pietyzm do hodowli kwiatów. Piękno wielu ogrodów, skwerów i bulwarów, nawet w milionowych miastach, wnętrz mieszkalnych stanowiących małe ogrody botaniczne i wreszcie przecudowne okolice Leiden (najstarszy uniwersytet, a u nas - znane sery), gdzie jak łany zbóż rosną na hektarowych połaciach tulipany, to prócz wiatraków, licznych kanałów, mostów i przysłowiowej czystości, elementy holenderskiego krajobrazu.

Obecnie zaczyna się budować obiekty o znacznej wysokości. W ten sposób wzbogacany jest ten płaski krajobraz, a następne pokolenia pozbawione będą podstaw do pewnego rodzaju kompleksu, związanego z brakiem budowli na miarę wieży Eiffla. Tak, kompleksu. Ten pracowity i doskonale, niczym zegarek szwajcarski, urządzony naród, który wydał Rembrandta, Memlinga, Stevina i wielu laureatów Nobla, posiada kompleksy.

Prócz wspomnianego, to na przykład struktura podziału administracyjnego kraju. Któregoś weekendu wybierałem się do Eindhoven - "stolicy" Zakładów Philipsa i miejsca pobytu jednego z pracowników Politechniki (doc. Karabon z chemii). "Hausfrau", u której wynajmowałem pokój, zainteresowana tym, że pośpiesznie przygotowuję śniadanie (oni się nigdy nie śpieszą), spytała, dokąd się tym razem wybieram. Mówię, że do Eindhoven.

— A, to pan jedzie do północnej Brabancji; my też wyjeżdżamy ale do Weer tj. Limburgii.

W pociągu elektrycznym (parowych nie ma tu od dawna) przekonałem się, że odległość między tymi miastami nie przekracza 24 km. Nikt u nas okolic Oleśnicy czy Trzebnicy nie zaliczałby do innej prowincji, a tym bardziej nie dawał odmiennych nazw.

Holendrzy długo biadolili, że nie posiadają metra. Przedsięwzięcie to w ich warunkach geologiczno-inżynierskich szalenie trudne. Prócz tego, że obudowa tuneli musi być wodoszczelna, trzeba ją utrzymać w tej wodnej mazi, bo "prawo Archimedesa" wypchałoby niechybnie na powierzchnię. Nie mówiąc, już, że obudowę metra trzeba wykonywać nie obniżając zwierciadła wody gruntowej. Powykrzywiane we wszystkie niemalże strony budynki miasta mogłyby się powywracać. Mimo tego zbudowali w Rotterdamie 8-kilometrowy odcinek metra, którego otwarcia dokonała Princesse Beatric tj. pretendentka do królewskiego tronu, a z urodzenia - córka panującej królowej Juliany.

A "zabawa" w strukturę parlamentarno-królewską - to też przejaw mający na celu nadanie powagi. Sami zresztą to w prywatnych rozmowach nieraz podnosili. W końcu rodzina królewska przysparza niemało kłopotów, nie mówiąc już o kosztach jej utrzymania. Kłopoty te potęguje fakt, że potomkami królowej są same córki, z których jedna wyszła za mąż za niemieckiego barona o hitlerowskiej przeszłości, druga za hiszpańskiego faszystę i do tego katolika (sama rodzina protestancka), a trzecia ma zeza i chyba za mąż w ogóle nie wyjdzie. Na uroczystości otwarcia metra nagle usłyszałem dość doniosłe wybuchy. Zacząłem rozglądać za kolorowymi rakietami na szarawym niebie. Okazało się jednak, że to studenci przygotowali kilka petard, by w momencie wysiadania z samochodu księżniczki w towarzystwie małżonka o pochodzeniu niemieckim i nazistowskim, dać jeszcze raz wyraz swemu niezadowoleniu z tego mariażu. Potem było już wszystko bez zakłóceń, bo przecież to naród bardzo zdyscyplinowany. Można ponarzekać w domu, ale jeżeli już jest ten dwór królewski, to nie można demonstrować swej opinii. No, chyba że studenci... A właśnie - studenci i Uczelnia - ciekawy temat. Może o tym oddzielnie.

KAZIMIERZ BIERNATOWSKI

ciotka

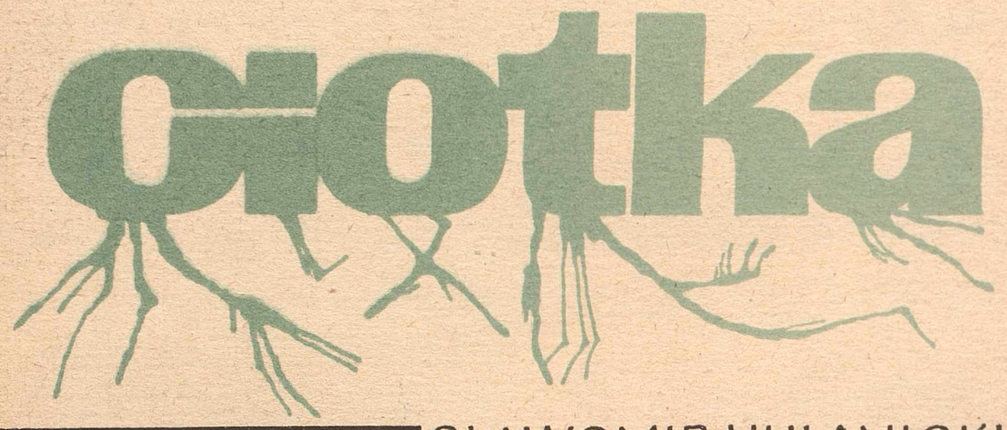

SŁAWOMIR HULANICKI

Wiem, co powiedzą, choćbym nie wiadomo jak długo opowiadał i wyłuszczał swoje racje. Wiem, że wcale nie będą słuchali, a jeśli nawet - to tylko jednym uchem; albo będą udawać, że słuchają, bo oni i tak już wiedzieli, co mają powiedzieć na wypadek, gdybym zrobił to, co zrobiłem teraz. Już zresztą raz to powiedzieli dwa lata temu, kiedy miałem dziewięć lat. Wtedy wszyscy - mama, tato, Kryśka i Anka, a także ciotka - mieszkaliśmy w tym wieżowcu na ósmym piętrze, w dwu pokojach z kuchnią - tak małą, że nie można było ustawić w niej nawet składanego łóżka, które bym przecież chował każdego ranka, a nawet o szóstej, kiedy tato wstawał do fabryki i ciotka też wstawała zrobić mu śniadanie. Jeszcze wcześniej mógłbym wstawać, chociaż do szkoły wystarczało, jak wstawałem w pół do ósmej, bo szkoła przytykała prawie do wieżowca. O której bądź bym wstawał i siedział cicho w przedpokoju, choć i tam nie było zbyt wiele miejsca; w każdym razie za mało, by mogło się zmieścić to turystyczne łóżko. Siedziałbym w przedpokoju albo łazience, chociaż rano lepiej być popychanym w przedpokoju; z łazienki trzeba coraz wychodzić, bo rano każdy ma tam interes. Wszystko zniósłbym po to, by spać w kuchni. Ale zbudowali ją o parę centymetrów za małą, gdyż widocznie murarze nie wiedzieli, że w sportowych sklepach sprzedają składane łóżka, albo pomyliła im się miara tych łóżek. Tak czy siak - kuchnia była za mała. Nie pomogło nawet to, że tato wpierw mierzył z pół godziny, potem coś tam liczył na kartce wyrwanej z notesu i kręcił głową z niezadowoleniem przez następne trzydzieści minut, zanim nie przyniósł z piwnicy tego łóżka i na siłę nie starał się go wepchnąć. Ale przy tym zawadził o wiszącą na hakach szafkę z naczyniami i strącił ją - taki był rumor, że przyleciał ten inżynier Bąkowski zza ściany, tylko, że wtedy nikt na niego nie zwracał uwagi, bo mama wyleciała ze swego pokoju, a ciotka ze swego i zaczęła się awantura. Kryśka i Anka ryczały, chociaż były ode mnie starsze. Tato na początku nie odzywał się a potem też nie wytrzymał i zaczął krzyczeć na mamę. Tylko ja stałem cicho i patrzyłem na nich, jak sobie skaczą do oczu. Ten inżynier Bąkowski też stał, ale nikt się nim nie interesował, nawet ja. Chociaż ze wszystkich właśnie ja go najlepiej znałem, bo miał w domu akwarium.

Trwało to chyba z godzinę. Potem przestali, ale wyraźnie się okazało, że łóżko nie zmieści się w kuchni. Więc musiałem tam spać, choć strasznie tego nie chciałem, i to nie dlatego, bym się ich bał, ale po prostu nie miałem ochoty.

Wolałem spać wszędzie, nawet w piwnicy, tylko że tam też nie było miejsca, bo tam stały różne graty sprzed kilku lat, jeszcze ze starego mieszkania. Wtedy nie było ciotki, chociaż może nawet już była, tylko że ja jej jeszcze nie znałem.

Było to cztery lata temu. W końcu wybudowali ten duży dom, chociaż mieli go skończyć o rok wcześniej. Ale i tak mama i tato bardzo się cieszyli, bo w tamtym starym mieszkaniu było niebezpiecznie i mama zawsze mówiła: - Tylko czekać, aż nam sufit spadnie na głowy.

— Nie jest tak źle — powiadał tato ze śmiechem — a tamten nowy już, już na ukończeniu.

Chodziliśmy tam w piątkę każdej niedzieli i tato pokazując trzy ciemne otwory na ósmym piętrze mówił: — Maluczko a tam będziemy mieszkać.

Dlatego każdy się cieszył, kiedy zajechała ciężarówka z napisem firmy, gdzie tato był planistą, i przyszło kilku kolegów z mamy biura w Narodowej Radzie. Załadowali ciężarówkę, a potem wszyscy wsiedli do paki i pojechaliśmy na nowe mieszkanie. Właśnie większość tych rzeczy znalazła się w piwnicy i teraz tam w ogóle nie ma miejsca. Ale ja i tak wolałem tam spać, tylko że do piwnicy tato nie zszedł, by mierzyć, bo od razu było widać, że tam nawet krzesło się już nie zmieści a co dopiero łóżko.

Nie bałem się, ale nie lubiłem, kiedy tato był pijany, a to przecież zdarzało się bardzo często. Mama początkowo złościła się, potem prosiła, jeszcze potem znowu się złościła, ale nie było rady. Więc dała spokój. Pewnego razu wyjechała w delegację; tato właśnie przyprowadził obcą panią i kazał nazywać ciotką. Nic mi to nie przeszkadzało, więc nazywałem, a ona za to dała tabliczkę czekolady. Potem tato zamknął się z nią w pokoju i długo nie wychodzili. Potem ona, ta ciotka, wyszła sama i od razu poszła do łazienki, a tato jeszcze długo siedział sam w pokoju, zanim ona nie przyszła z powrotem. Dopiero wtedy i tato poszedł do łazienki a ona pozostała w pokoju, a po jakiejś godzinie wyszli z domu i kiedy była noc, a Kryśka z Anką już spały, tato przyszedł znowu pijany. Spałem również, ale tato długo chodził po kuchni i rozbił talerz, więc było trochę hałasu. Kryśki i Anki to nie zbudziło, ale mnie tak. Zawsze sypiam czujnie i mama mówiła nieraz, że śpię jak zajączek. Potem tato długo przewracał się na tapczanie i mamrotał, aż wreszcie usnął. A ja leżałem obok niego i nie chciało mi się w ogóle spać.

Na drugi dzień znowu przyszła ta ciotka i znowu tato długo z nią siedział zamknięty w pokoju, a potem ona znowu wyszła do łazienki ... A dnia trzeciego przyjechała mama i wtedy powiedziałem, że tu była przez dwa dni taka zupełnie obca ciotka, i że tato zamykał się z nią w pokoju na klucz. Ale mama w ogóle nic nie powiedziała, tylko dała na kino. Poszedłem więc z Kryśką i Anką.

O szóstej wróciliśmy, ale taty jeszcze nie było w domu, bo dopiero przyszedł o ósmej. Tym razem nie był nawet podpity, ale tak jakoś niewyraźnie kręcił się po mieszkaniu, jakby coś ważnego gdzieś zgubił i boi się przyznać. Mama kazała nam iść do naszego pokoju a sama też zamknęła się na klucz z tatem, zupełnie tak samo, jak wpierw ta ciotka; tylko że mama nie była tam tak długo, bo zaraz wyszła z zaczerwienionymi oczami i tak samo jak ona, ta ciotka, poszła do łazienki. Po chwili tato wyszedł z domu, nawet trochę za głośno zamknął drzwi wejściowe i nie było go przez cały wieczór. A mama powiedziała, że od dzisiaj będzie spać z dziewczynkami na mojej wersalce, a ja z tatem w ich pokoju na tapczanie.

Tato tego dnia wrócił późno. Ja już spałem, tak, że nie wiedziałem, która może być godzina. Potem przez miesiąc spałem razem z tatem, którego zresztą prawie nie widywałem, bo przychodził późno. Zwykle mnie jednak budził, kiedy kładł się taki sapiący, a raczej budził mnie swoim zapachem, o którym mama mówiła: "knajpiany". Ale zawsze chwilę później zasypiałem; po jakimś czasie zupełnie przyzwyczaiłem się do tego nocnego przychodzenia taty i spałem nawet wtedy, gdy on palił światło i coś robił w pokoju.

Wreszcie któregoś dnia kupił to składane łóżko, ale nikt o tym nie wiedział, bo od razu ze sklepu zaniósł je do piwnicy.

Musiało jeszcze upłynąć parę dni, zanim znowu nie przyprowadził tej ciotki, tylko że teraz przyszła z dwoma walizkami, ale tym razem tato nie zamykał się już z nią w pokoju, tylko poszedł do piwnicy po to łóżko. I nie było rady - musiałem tam spać.

x
x x

Wstawili to łóżko do pokoju taty i ja tam się położyłem. Potem zgasili światło i ciotka położyła się na tapczanie, gdzie już był tato. Potem długo coś tam szeptali, syczeli, że ani rusz nie mogłem zasnąć. Ale oni myśleli, że śpię, bo tato powiedział szeptem: — Teraz. On już na pewno zasnął.

— Może obudzić się - wyszeptała ciotka.

A za chwilę powiedziała tylko: — Nie. Nie. Och ...

I było cicho przez godzinę, czy dwie, w każdym razie dość długo była ta cisza, na tyle długo, że obudził mnie tato rano już zupełnie ubrany do pracy. Ale zasnąłem ponownie, bo jakoś nie mogłem na niego popatrzeć. Czegoś mi było wstyd, chociaż tak dokładnie sam nie wiem, czego. Po raz drugi obudziła mnie ciotka i dała śniadanie, ale na nią też nie mogłem patrzeć, więc odchylałem głowę w bok, aż rozbiłem kubek z mlekiem. To właśnie dlatego spóźniłem się do szkoły.

Na lekcjach chciało mi się okropnie spać. Kilka razy zasnąłem i pani dała mi dwóję za to, że nie uważam, a ja przecież chciałem uważać, tylko nie mogłem.

Kiedy wróciłem po lekcjach do domu, mama zapytała, czemu tak źle wyglądam, a ja odpowiedziałem, że bardzo źle spałem i że już tam u nich nie będę spać, choćby nie wiadomo co. Ale mama pogładziła tylko po głowie i odrzekła, że przecież w ich - to znaczy mamy, Kryśki i Anki - pokoju nie ma zupełnie miejsca na ustawienie tego polowego łóżka, a także nie ma miejsca, gdzie bym mógł się jako-tako położyć. Bo na jednej, tej większej wersalce, śpią dziewczynki, a na jego, mniejszej, śpi ona, mama - więc na razie muszę tam spać, a potem może coś się wymyśli.

No i spałem jeszcze tę noc, potem następne i następne, ale po każdej bardziej nie mogłem spojrzeć w oczy tacie, ani tej ciotce. Może nawet nie tyle nie mogłem, co nie miałem w ogóle na to ochoty, a najbardziej nie miałem ochoty, by tam spać. Cóż jednak miałem robić, jak nie wytrzymać jeszcze przynajmniej kilka dni, ale z każdym dniem było coraz gorzej. Więc już nie mogłem dłużej czekać, no bo i na co? Czego się miałem spodziewać? Chyba tylko tego, że do końca życia tam będę musiał sypiać na tym składanym łóżku i słuchać tych okropnych szeptów.

Co mogłem robić? Miałem tylko jedno wyjście, żeby tam już więcej nie spać. Zrobiłem więc to, co miałem do zrobienia, by jak najdalej odsunąć się od tego miasta, tego domu i tego parszywego łóżka, a przede wszystkim - od nich.

Ale jeszcze przedtem próbowałem pomówić z tatem, tylko, że on w ogóle nie chciał słuchać. Powiedział, że przecież wszystko jest w najlepszym porządku, że jeszcze jestem za mały, by cokolwiek zrozumieć i że za parę lat inaczej będę do niego mówić. Tato wtedy szybko wyszedł z domu. Poszedłem więc do pokoju mamy i też próbowałem porozmawiać. Ale mama tak samo powiedziała, że mam za mało lat, żeby rozważać takie sprawy, i jeszcze powiedziała, że ona również tak samo myśli jak ja, ale czasem dorosły mężczyzna jest mniej poważny od dziewięcioletniego chłopca, i to najczęściej, kiedy jest ojcem tego chłopca. Mama jednak nigdzie nie poszła a tylko dała mi

Rys. Z.Wójcicki

dziesięć złotych i powiedziała, żebym jutro szedł do kina, to się trochę rozerwę i przestanę myśleć o za trudnych jak na mój wiek sprawach. A potem dodała, że to nie potrwa długo, bo ona wie sama, że taki stan rzeczy nie może utrzymywać się dalej, a więc powinienem jeszcze trochę poczekać i nie zwracać na nic w ogóle uwagi.

Tego dnia również nie odrobiłem lekcji; rozłożyłem to swoje składane łóżko i zacząłem czytać "Piętnastoletniego kapitana" - książkę starą, wytartą; książkę, którą pożyczył mi ten inżynier zza ściany. A potem zasnąłem nie zgasiwszy nawet światła.

Nie wiem, jak długo spałem, bo kiedy tato przyszedł z tą ciotką, obudziłem się, ale wolałem nie otwierać oczu, żeby nie spojrzeć na budzik stojący na półce regału. Wolałem nie wiedzieć, która godzina, byle tylko nic do mnie nie mówili, byle nie trzeba było odpowiadać na żadne pytania.

Myśleli, że śpię i widocznie też nie mieli ochoty na to, by ze mną mówić, bo nawet zachowywali się cicho. I dopiero kiedy położyli się, ciotka zaczęła coś mówić szeptem do taty, ale tego jeszcze nie słyszałem, bo mówiła za cicho. Tato w ogóle się nie odzywał chyba z piętnaście minut, a potem powiedział, też cicho, ale nieco głośniej do ciotki, więc to już mogłem słyszeć:

— To jednak są moje dzieci. Nie mogę tak zwyczajnie wywalić.

— Więc myślisz, że zechcę żyć tak wiecznie? - szeptał głos ciotki.

— Ona w końcu coś zrobi — ciągnął dalej tato.

— Doczekasz się — wyszeptała ciotka.

Potem nastąpiła dłuższa chwila ciszy i tato znów zaczął:

— Ale jego nie oddamy.

— Ty go nie oddasz — ciągnęła ciotka, tak jakoś dziwnie sycząc, następnie poruszyła się i zupełnie innym tonem powiedziała: — No, przestań już wreszcie.

Tato musiał też się poruszyć, bo sprężyny tapczanu tak jakoś zajęczały, trochę łzawo, żałośnie - dlatego wiedziałem, że to nie ciotka, bo ona była nie duża i na pewno o wiele mniej ważyła od taty. I jeszcze upłynęło trochę czasu, zanim ciotka sapnęła kilkakrotnie, niby po ciężko wykonanej pracy i w pokoju rozlała się cisza - niby ten ocean, a ja w tym swoim składanym łóżku - niby ten kapitan.

Właśnie wtedy pomyślałem sobie, że tu żadne czekanie nic nie zdziała, i że muszę to w końcu zrobić, bo przyszedł odpowiedni moment, zwłaszcza, że w szkole dostałem dużo dwój a pani już kilkakrotnie wzywała tatę. Zawsze mówiłem, że tato teraz w delegacji a mama bez przerwy choruje. Ale wiedziałem że tak bujać długo nie mogę, bo w końcu pani sama przyjdzie do domu i wtedy będzie zupełny klops.

x
x x

I potem powiedzieli ten pierwszy raz. Stałem przy oknie, tak, że wiedziałem, kiedy weszli do bramy, a po minucie słyszałem drobne kroczki ciotki i ciężkie stąpanie taty po wychodzonych i skrzypiących schodach. I to pukanie do drzwi, pukanie, które strasznie dziwnie odbiło się w mojej głowie; w całym sobie czułem to pukanie, jakby ktoś walił młotkiem nie w drzwi a we mnie. Nikt jednak nie miał młotka a tym bardziej - nikt nie rozbił nim drzwi, bo tato - od razu byłem pewien, że to on - tylko puknął kilka razy, potem odczekał minutę i puknął jeszcze raz, a ciotka przytupywała przez tę całą minutę tymi swoimi nazbyt wysokimi obcasami - tego też byłem pewien - a potem musiało upłynąć jeszcze kilka sekund, zanim ten plutonowy, siedzący za stołem przy balustradzie, powiedział: — Wejść! — W tej samej chwili pomyślałem: "On wejdzie pierwszy". I wszedł, a tuż za nim drobna, trochę młodsza od mamy, ciotka. Dreptała za tatem, tak jakoś dziwnie, nieśmiało, zupełnie inaczej niż w domu. Wydawała się jakaś mniejsza, mimo tych za wysokich obcasów. Nawet pozostała nieco w tyle, podczas gdy tato parł naprzód do balustrady, i zanim oparł się o nią, powiedział: — Dzień dobry. — Plutonowy wtedy jeszcze odczekał chwilę i nie odpowiadając na powitanie taty, zapytał wskinąwszy w moim kierunku głową.

— To ten?

Głos miał twardy, nieprzyjemny, zupełnie inny od tego, jakim ze mną rozmawiał.

Tato nie odpowiedział, tylko skinął głową, a za jego plecami również skinęła głową ciotka. Potem znowu upłynęła chyba minuta, tak, że zdążyłem się już trochę z tego nerwowego wrażenia otrząsnąć i mogłem wszystko dokładnie widzieć a także słyszeć. Ale nie patrzyłem na nich, chociaż ciągle miałem ich na oku, nie mogłem jakoś tak bezpośrednio na nich patrzeć, choćby tak, jak na przykład na tego milicjanta za stołem, który akurat coś tam wyszperywał z pliku urzędowych papierów. A po długiej chwili odezwał się:

— No i co powiecie ?

Tato jednak milczał, zresztą ciotka też milczała; no, ale to było jasne, wiedziałem, że ciotka w takiej sytuacji i to przed gościem w mundurze milicjanta nie będzie tak się zachowywać, jak przed tym inżynierem Bąkowskim, czy przed mamą albo i przed tatem. Więc czekałem tylko na to, co on powie. Ale milczał nawet wtedy, gdy ten milicjant wstał od stołu, przeszedł z pół pokoju w moim kierunku i powiedział:

— No podejdź tu bliżej, przywitaj się!

A do taty:

— Mówcie, jak jest!?

Powiedział to jeszcze bardziej twardo niż za pierwszym razem. To był prawie rozkaz. Ale tato patrzył to na mnie, to na tego milicjanta, który dalej stał na środku pokoju, patrzył, patrzył i nic zupełnie nie odpowiadał. Dlatego milicjant zawrócił i podchodząc do balustrady, o którą oparty stał tato, zaczął:

— Rozumiem musicie się wpierw napatrzeć.

Ale chyba niczego nie rozumiał, bo właśnie ja zaczynałem rozumieć i już wiedziałem, że tato wcale nie chce się napatrzeć, a ma zupełnie inne powody, żeby być cicho, przynajmniej tak długo, jak tylko się da. Ciotka też okazała się przebieglejszą od tego plutonowego, bo podeszła do balustrady i zaczęła mówić. Potem tato jakby się ocknął i też zaczął mówić, i właśnie wtedy to powiedzieli, a ja dalej stałem przy oknie i wcale nie bałem się a tylko zrobiło mi się bardzo smutno, tak smutno, że musiałem przytknąć twarz do szyby, żeby się nie rozbeczeć.

Tak właśnie było za pierwszym razem. I tak będzie chyba teraz, tylko, że teraz ja już tam z nimi nie pójdę, choćby nie wiadomo, jak ciągnęli. Powiem wszystko, jak było, dokładnie powiem, niezależnie od tego, czy będą słuchać, czy nie. I nie pójdę tak grzecznie, jak wtedy, bo tamtego dnia zabrali mnie z tego komisariatu do domu, gdzie czekała już zapłakana mama i Kryśka z Anką. I znowu musiałem tam z nimi spać.

Tak było przez parę miesięcy. Potem któregoś dnia tato z mamą poszli do sądu a kiedy wrócili, mama była zapłakana i powiedziała jeszcze, że wszystko ma szanse dobrze się skończó, bo jej koledzy w Radzie Narodowej załatwili mieszkanie, więc jeszcze to wszystko może potrwać najwyżej przez kilka miesięcy i jeśli nawet ona, mama, mnie nie dostanie, to i tak będzie lepiej niż teraz, bo będę mógł przynajmniej spać sam w pokoju.

No i wreszcie minęły te miesiące i przyjechał samochód, tylko, tym razem z Narodowej Rady. Przyszło parę kolegów mamy i załadowali wszystkie rzeczy mamy, Kryśki i Anki; a ja przeniosłem to składane łóżko do wolnego pokoju i odtąd tam spałem. Ale tam też nie miałem spokoju, bo zaraz po wyjeź-

dokończenie na 22

W NIEDZIELE NA NARTY...

W Związku z przebiegającym sezonem zimowym słów kilka o działalności komisji narciarskiej. W Oddziale ma ona swoją dobrą tradycję. Od r. 1955 w sezonie zimowym chętni mogą wziąć udział w coniedzielnych wycieczkach narciarskich z dojazdem do miejscowości podgórskiej - dawniej pociągiem, obecnie autokarem Politechniki. W każdym sezonie zimowym organizowane są 2 kursy narciarskie prowadzone przez wykwalifikowanych instruktorów. Kursy odbywają się w schroniskach turystycznych Sudetów, Beskidów i Tatr.

Spośród członków Oddziału, uczestników kursów narciarskich "wyłowiono" kandydatów na szkoleniowe kursy instruktorskie, organizowane przez Polski Związek Narciarski. W wyniku ukończenia tych kursów 3-ch członków Oddziału posiada uprawnienia instruktorów narciarskich, 8 - pomocników narciarskich i 4 - przodowników wyszkolenia narciarskiego. Zapewnia to należytą obsługę oraz właściwy poziom kursów i wycieczek.

Do roku 1968 przeszkolono na kursach narciarskich 870 pracowników i studentów Politechniki, członków naszego Oddziału.

Obecny sezon narciarski rozpoczęliśmy kursem w schronisku "Odrodzenie" w Karkonoszach, gdzie przy dobrych warunkach śnieżnych i pogodzie czterdziestu uczestników kursu spędziło bardzo przyjemnie okres ferii świątecznych znajdując odprężenie, wypoczynek i szkoląc się w narciarstwie.

Poza imprezami w terenie, w okresie jesienno-zimowym organizowane są - począwszy od 1961 roku - gawędy turystyczno-krajoznawcze. Na gawędach tych, które odbywają się w klubie ZOZ przy czarnej kawie, uczestnicy ciekawych wycieczek, głównie zagranicznych, opowiadają swoje wrażenia, ilustrując je przeźroczami. Dotychczas odbyły się 34 takie spotkania.

J. LEWANDOWSKI

ODDZIAŁ PTTK POLITECHNIKI - W HISTORYCZNYM ZARYSIE

Oddział Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego powstał przy Politechnice Wrocławskiej w marcu 1953 roku i liczy obecnie 1570 członków. Organizatorami Oddziału byli: pierwszy prezes - prof. Tadeusz Broniewski, kol. Marta Cybulska, prof. Adam Cybulski oraz kol. Stefan Fuliński, spośród których czynnie do chwili obecnej przetrwali kol. Marta Cybulska pełniąca od 1959 r. funkcję viceprezesa oraz kol. Stefan Fuliński.

Od r. 1956 wytrwale pracują w Oddziale kol.kol. Bogusław Bołaziński, obecny prezes Oddziału, Aleksander Streubel, Wojciech Suski, Zygmunt Szubert, Mirosław Walkowicz.

W pierwszych latach istnienia, Oddział PTTK był jedyną organizacją na terenie Politechniki, zajmującą się propagowaniem i organizowaniem turystyki pieszej i narciarskiej wśród pracowników i studentów. Toteż aktyw Oddziału rekrutował się wówczas zarówno spośród starszego jak też młodszego pokolenia turystów, a wszystkie imprezy były platformą, na której spotykała się młodzież studencka ze swymi wychowawcami.

Z biegiem czasu turystyka stawała się coraz bardziej popularna, w wyniku czego przy organizacjach młodzieżowych powstały komórki zajmujące się również propagowaniem imprez turystycznych. W związku z powyższym praca w Oddziale PTTK opierać się musi głównie na aktywie złożonym z pracowników. Aby nie utracić cennej więzi z młodzieżą studencką, która stanowi 60 % członków Oddziału, Zarządy utrzymują kontakty z organizacjami młodzieżowymi poprzez wspólne imprezy turystyczne.

Akcję turystyczno-krajoznawczą prowadzi Oddział poprzez odpowiednie Komisje, przy czym wszystkie prace wykonywane są społecznie.

J. LEWANDOWSKI

Konferencja ZNP Politechniki Wrocławskiej fot. J. Chwiszczuk

KOŁO ZMS MŁODYCH PRACOWNIKÓW NAUKI

Koło Młodych Pracowników Nauki, skupiające członków ZMS, zostało założone w grudniu 1968 r. z inicjatywy Zarządu Uczelnianego. Ustalono program działania i skład zarządu.

Celem nowo powstałego koła jest pomoc młodym pracownikom nauki w prowadzeniu działalności dydaktyczno-wychowawczej, poprawa ich warunków socjalno-bytowych oraz praca ideowo-polityczna. Wspólny wysiłek pomoże w rozwiązywaniu szeregu nurtujących ich problemów oraz pozwoli nawiązać bliższy kontakt z Uczelnią, ułatwi wzajemne zżycie i współdziałanie.

Koło wybrało swój zarząd; przewodniczącym został W. Apostolik, wice-przewodniczącymi - kol.kol.: T. Bialik, Cz. Bryszewski, J. Ilczyszyn, A. Zieliński, a skarbnikiem - T. Fevsette.

K. BARANIECKI

ciotka

dzie mamy zaczęli przychodzić różni ludzie i razem z tatem i ciotką pić wódkę i mocno hałasować. Tak, że nieraz ten inżynier zza ściany przychodził uspakajać, ale to na nic się nie zdało. Czasem - kiedy byli ci obcy - tato kazał mi siedzieć w kuchni, a do mego pokoju wchodził jakiś mocno podpity gość a po chwili wchodziła nie mniej podpita pani i zamykali się na klucz na jakąś godzinę, albo i dłużej, a ja sterczałem w tej kuchni przez kilka godzin, bo oni kiedy wychodzili, to wcale nie uważali za stosowane, by w jakiś sposób dać znać, że to, co mieli do zrobienia w moim pokoju, dawno już zrobili. Siedziałem więc w tej kuchni przeważnie, aż do chwili, kiedy nie usłyszałem trzasku nieco za głośno zamykanych frontowych drzwi. Potem też przeważnie nie mogłem zasnąć i tak było często.

Wreszcie nie mogłem wytrzymać. Uciekłem do mamy. Uciekłem, bo wiedziałem, że jak ucieknę gdzie indziej, to znowu złapie mnie milicja i będą musiał wracać, a przecież tego bardzo nie chciałem. Ale i tu przyszedł tato z milicjantem i mama powiedziała, że muszę iść, bo tato ma do mnie prawo. Nie chciałem iść, ale nie było rady... Mama jeszcze powiedziała, że w niedługim czasie wszystko załatwi i będę już zawsze razem z nią i dziewczynkami. Poszedłem. Tak, poszedłem z powrotem i znowu było to samo. Może nawet jeszcze gorzej, bo przecież nawet i do hałasów i do siedzenia przez wiele godzin w kuchni można się przyzwyczaić, ale nie do tego, żeby w szkole mówili, że z moim tatem mieszka lipna ciotka. Bo że lipna, to sam od dawna wiedziałem, ale to przecież moja, tata i mamy sprawa a nie tego Kowalika. Dlatego dałem mu w zęby, tak mocno, że się przewrócił i oblał juchą.

Ale nie koniec na tym, bo zaraz inni chłopcy rzucili się na mnie i sam porządnie dostałem. Więc co miałem robić? A zresztą każdy na moim miejscu zrobiłby to samo - pozbierałem się i pobiegłem na górę do domu. Już wcześniej wykryłem, gdzie ta ciotka chowa przed tatem pieniądze. Więc wziąłem, tak, wziąłem te trzy tysiące i zrobiłem akurat to samo, co za pierwszym razem, tylko, że teraz miałem dużo pieniędzy, więc mogłem kupić bilet do Gdańska, a tam zaciągnąć się jako chłopiec okrętowy na statek. Ale nie wzięli mnie, to znaczy jeden taki marynarz obiecał, że pogada z kapitanem, a nawet wziął zadatek, dwa tysiące z tych trzech, które zabrałem ze schowka ciotki - zabrałem, nie ukradłem, bo ciotka też zabierała tacie, kiedy nie widział - więc wziął te dwa tysiące i powiedział, żebym przyszedł w to samo miejsce na drugi dzień, bo wtedy on przyprowadzi kapitana i wszystko się załatwi ... Ale nie przyszedł, choć czekałem wiele godzin, aż zrobiło się rano. I wtedy właśnie zaczepił mnie milicjant.

— Co tu robisz? — pytał. — O tej porze tacy jak ty powinni jeszcze spać w domu.

Więc mu powiedziałem, że czekam na tatę, który jest marynarzem i który zaraz tu przyjedzie. Odczepił się a ja dalej czekałem; ciągle miałem nadzieję, że ten mój marynarz jeszcze nadejdzie, bo inaczej nie brałby pieniędzy. No i nie przyszedł. Za to przyszedł ten sam milicjant i wtedy już na dobre zabrał się do wypytywania. Bujałem, jak tylko mogłem,

TURNIEJ WIEDZY POLITYCZNEJ STUDENCKICH KÓŁ ZMS I ZMW

Turniej Wiedzy Politycznej w środowisku akademickim organizowany jest po raz pierwszy. Organizatorzy tej imprezy - ZMS i ZMW - spodziewają się, że spełni on swoje zadanie, to znaczy:

1) przyczyni się do pogłębienia wiedzy politycznej;
2) stanie się formą oddziaływania politycznego na młodzież akademicką;
3) powiąże ściślej wszystkie uczelniane organizacje młodzieżowe.

Tematyka turnieju będzie podjęta przez studencki ruch naukowy: koła naukowe, obozy naukowo-badawcze itp. Ustalono następujące etapy turnieju:

- Eliminacje w kołach - do 20.XII.1968 r.
- Eliminacje wydziałowe - do 18.III.1969 r.
- Eliminacje uczelniane - w dniach: 1-15.IV.1969 r.
- Eliminacje środowiskowe - 4.V.1969 r.
- Eliminacje centralne - 30.IX.1969 r.

Przewiduje się nagrody - od finalistów eliminacji wydziałowych aż do zwycięzcy turnieju. Członkowie drużyny, która zwycięży w eliminacjach środowiskowych, wezmą udział w wycieczce do jednego z krajów demokracji ludowej. Członkowie drużyn, które zajmą trzy pierwsze miejsca w finale na szczeblu centralnym, otrzymają nagrody rzeczowe.

Organizacje uczelniane ZMS, których największy procent weźmie udział w turnieju, otrzymają nagrodę specjalną.

Bliższe dane informacyjne określa regulamin Turnieju Wiedzy Politycznej, który znajduje się we wszystkich kołach ZMS naszej Uczelni.

K.B.

TURNIEJ WIEDZY POLITYCZNEJ pod hasłem "TRADYCJE WALKI I PRACY" - trwa

Pierwszy etap walki turniejowej - eliminacje w kołach ZMS - mamy już za sobą. 17 i 18 grudnia ub.r. specjalne komisje wyłoniły po trzech kandydatów do eliminacji wydziałowych. Mają się one odbyć w terminie do 18 marca br.

Rozgrywki przeprowadzone zostały testowo. Należało odpowiedzieć poprawnie na 15 pytań wpisując jedynie na kartce papieru ("firmowej") uznany wariant "a" lub "b". Ponieważ okazało się, że jest dużo bezbłędnych odpowiedzi na wszystkie pytania, potrzebna była dogrywka, aby wyłonić tylko trzech - jak już wspomniałem - uczestników. Fakt ten sugeruje dobre przygotowanie uczestników do turnieju i zapowiada już niemałe emocje w eliminacjach wydziałowych.

K.BARANIECKI

KONKURS NA "NAJLEPSZY POKÓJ W DS"

Konkurs przewidziany był dla mieszkańców akademików a ściślej mówiąc - dla mieszkańców pokoju. Zainteresowani zgłaszali swe uczestnictwo w konkursie Radzie Mieszkańców względnie Terenowemu Kołu ZMS. Termin zgłoszenia upływał 15.XII.1968 r.

Przedstawiamy kryteria kwalifikacyjne, które będą brane pod uwagę podczas oceny:

a) wyniki w nauce (decydują dwa ostatnie semestry);
b) aktywny udział w życiu politycznym i społecznym;
c) punkty za estetykę i czystość pokoju (z ostatniego semestru);
d) punkty ujemne (za powtarzanie roku, za oblany egzamin).

Zwycięzcy otrzymają nagrody pieniężne (dla całego zestawu osobowego "Najlepszego pokoju"):

I miejsce - 2000 zł
II miejsce - 1000 zł
III miejsce - 500 zł

Konkurs organizowany jest na szczeblu Uczelni.

Życzymy powodzenia!

K.B.

Jacek Zieliński w gronie słuchaczy fot.J.Chwiszczuk

"SKALDOWIE" CZYLI WĘDROWNI ŚPIEWACY

W środę 8.I.1969 odbyło się w "Atolu" spotkanie studentów z kierownikiem zespołu "Skaldowie" Andrzejem Zielińskim oraz jego bratem Jackiem. Organizatorami spotkania byli Mieczysław Dereń, Jerzy Kiełebaj oraz Zdzisław Kramarczyk.

Interesująco przedstawiają się ich wrażenia z tournée po ZSRR. Najbardziej podobały się im republiki południowe, a szczególnie młodzież. Często spotykali studentów polskich, studiujących w Związku Radzieckim.

Skaldowie cenią Cześka Niemena oraz "starych poczciwych Bitlesów".

Spotkanie przebiegało w miłej atmosferze; zakończono je wręczeniem kwiatów oraz rozdaniem autografów przy akompaniamencie piosenki "Cała jesteś w skowronkach".

Spotkanie prowadził kierownik klubu "Gwarek" - Janusz Brzoza.

Dodajmy, że "Skaldowie" uznani zostali za najsympatyczniejszy zespół 1968 r.

JAN CHWISZCZUK

O STUDENTACH POWIEDZIELI:

KRYSTYNA SKUSZANKA - dyrektor Teatru Polskiego

— Moje spotkania ze studentami były bardzo miłe, szkoda tylko, że było ich tak mało. Rzeczą charakterystyczną jest, iż studenci Politechniki przejawiali większe zainteresowania problemami kultury, sztuki i teatru, niż studenci kierunków humanistycznych. Ich reakcje są żywsze, bardziej naturalne.

ANDRZEJ MARKOWSKI - dyrektor Filharmonii Wrocławskiej

— Myślę, że pytania były bardzo rzeczowe, dyskusja poważna i sympatyczna. Na Uniwersytecie Jagiellońskim pierwszymi pytaniami były: "Ile pan zarabia?", "Jaki pan ma samochód?" (po spotkaniu w klubie T-2).

(mgr)

ANDRZEJ WALIGÓRSKI - satyryk

— Byłem niejednokrotnie gościem "Telemika". Widownia studencka jest dosyć specyficzna; reaguje już na cieniutkie aluzje. Spotkałem się niejednokrotnie z salą, która reaguje dopiero na gruby dowcip, a tam cały czas był lekki szmerek...

Szkoda, że studenci są rzadkimi gośćmi kabaretu "Dreptak".

Od Redakcji: Po podwyżce stypendium będzie ich zapewne więcej!

Rozmawiał: JACEK GAJEWSKI

a on słuchał i kiwał głową. A kiedy skończyłem, powiedział:

— Dobra, dobra, tato nie przyszedł, jest widocznie na morzu, a więc zaprowadzisz mnie do mamy.

A ja mu na to:

— Tak jest, zaprowadzę.

I poszliśmy, bo myślałem, że w mieście mu zwieję, ale on, gdy przechodziliśmy koło takiej jednej wysokiej bramy, zapytał:

— Czy przypadkiem nie tu?

Spojrzałem i zobaczyłem, że tam jest ciemno, dlatego odrzekłem, że właśnie tu. A on powiedział, że się dobrze składa, bo on ma w tym domu interes. Weszliśmy, ale przedtem wziął mnie za rękę i już w środku, w bramie, powiedział, że zna się na takich owaniakach w krótkich spodenkach i że właśnie tu mieści się komisariat.

Potem przewieźli mnie pociągiem z powrotem i znowu stoję przy oknie i czekam. I znów wpierw ich zobaczę a potem usłyszę ich kroki na wychodzonych, skrzypiących schodach a potem to pukanie do drzwi i po minucie kiedy już wejdą, zaczną właśnie mówić ... Ale ja zacznę pierwszy, choć na pewno nie będą tego słuchać, zacznę pierwszy i powiem, że tym razem nie pójdę tak łatwo. Powiem im, że tym razem będą musieli wrócić do domu po sznurek, bo inaczej mnie nie zabiorą. Dlatego muszę zacząć pierwszy, dlatego też wiem co powiedzą, bo ciotka nie wspomniała na pewno nikomu o tych trzech tysiącach, a tym bardziej nie wspomni teraz.

SŁAWOMIR HULANICKI

Jak dowiadujemy się ze źródeł na ogół dobrze poinformowanych - Klub ZOZ-u przy Politechnice Wrocławskiej w Gmachu Głównym w roku 1969 będzie czynny w przerwach między przygotowaniami do balów, "oblewań" stopni naukowych i innych uroczystości zamkniętych, a sprzątaniem po balach.

SIGMA

MAGAZYN PROBLEMOWO-INFORMACYJNY POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ. Wydaje Politechnika Wrocławska. Adres redakcji: Wrocław ul. Wybrzeże Wyspiańskiego 27, pok. 339, tel. 270-51 wewn. 240. Redaguje zespół w składzie: MARIAN FIJAŁKOWSKI /sekr. red./, JERZY GIRULSKI /red. działu publicystyki/, SŁAWOMIR HULANICKI /red.działu kultury/, JAN OSIŃSKI /red. naczelny/, JANUSZ PAWLIKOWSKI /red.działu informacji/, ANDRZEJ PEŁECH /red. działu publicystyki/, STANISŁAWA SZULC /red.działu informacji/, WŁADYSŁAW TOMCZAK/red. działu publicystyki/, WANDA TRUSIEWICZ /red.działu informacji/, MARIA WÓJCICKA /sekretarz redakcji/. Opracowanie graficzne: Marian Fijałkowski przy współpracy Stefana Bajera, Bolesława Magi, Andrzeja Pawłowskiego, Antoniego Piekarza i Tadeusza Pluty. Druk: "INTRODRUK" Wrocław - 40427 712/7 A4/3000

REKORDZIŚCI

Norbert pokonuje ostatni już lodospad

Andrzej i Benek na dnie wielkiej studni

fot.M.Trzeciakowski

Siedmiu taterników podziemnych w blisko dwustugodzinnej akcji osiągnęło dno jaskini na głębokości 640 m. Drogę powrotną odbyli oni nie korzystając z pozostawionych przy zejściu ubezpieczeń. I właśnie pokonanie tej drogi o najwyższej skali trudności, przy zastosowaniu techniki podciągowej, jest wynikiem rekordowym, lepszym o 240 m od dotychczasowego rekordu świata należącego do speleologów francuskich.

To fenomenalne osiągnięcie speleologii polskiej jest tym milsze dla nas, że jego autorami są wrocławianie, członkowie Sekcji Grotołazów Akademickiego Klubu Turystycznego przy Radzie Okręgowej ZSP. Wśród nich są absolwenci i studenci naszej Uczelni: ROMAN GALAR, JERZY MASEŁKO, ANDRZEJ OSTROMĘCKI, KAZIMIERZ PIOTROWSKI, MAREK TRZECIAKOWSKI i BERNARD UCHMAŃSKI - kierownik wyprawy.

Trudy wyprawy zbiegły się z nocą sylwestrową. Miejscem wydarzenia była Jaskinia Śnieżna.

Tekst i fot:
MAREK TRZECIAKOWSKI

PRZEBŁYSKI

Nie sądzę, aby pani X straciła cnotę - ona nigdy jej nie miała.

...

Pan X wzniósł szereg toastów, po spełnieniu których wyniesiono pana X.

...

Uczcijmy pamięć pana X - popełnijmy jakieś świństewko!

...

Pan X wpadł pod tramwaj, ale i to nie przekonało go do postępu motoryzacyjnego.

...

Kiedy pan X wpadł do gnojówki, nie wiadomo było, co jest co.

...

W miarę niepowodzeń erotycznych, pan X siwieje w miejscach trudno dostępnych.

...

Iksowi dobrze: nie można uderzyć go w twarz.

...

Pan X jeszcze nie oferował mi swojej przyjaźni, ale już jest na najlepszej drodze - zaczął mi szkodzić.

...

Jakkolwiek pan X nie byłby nieszczęśliwy, i tak będzie miał więcej szczęścia, niż rozumu.

...

Pan X został skazany na przepadek imienia.

...

Pan X ma tak mało wyobraźni, że nawet sam ze sobą nie potrafi się nudzić.

...

Życie pani X zaczęło się po czterdziestce pana Y.

...

Uwaga: pan X jest nieszczepionym psem na kobiety!

...

Cnota pani X chodzi w nienagannie białych majteczkach - co do tego jesteśmy wszyscy zgodni.

...

Pan X, to bardzo uzdolniony denuncjator: wydał pana Y i jeszcze otrzymał pana Z, jako resztę.

...

Równanie: X = 0 doskonale określa pana X.

...

Pamięć pana X uczczono minutą dosadnego milczenia.

...

Pan X jest zawsze na etapie, chociaż zupełnie nie wie, w jakim wyścigu bierze udział.

HENRYK JAGODZIŃSKI